

SPOTKANIA ŚWIRZAN

Nr 5 (164)

LUBIN

2023 r.



**Złoty Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej,
przyznany w 2006 r. redaktorom czasopism kresowych
przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.**

Szanowni Krajanie,



a dalekich peryferiach polityki europejskiej, zdominowanej przez napad Rosji na Ukrainę, mamy do czynienia z wydarzeniami, które mogą wiele zmienić. Otóż władze chińskie zakazały używania na oficjalnych mapach takich nazw jak Władywostok, Błagowieszczeńsk czy wyspa Sachalin, a zalecają używanie dawnych nazw chińskich, jak choćby Haishenwai zamiast Władywostoku. Ponadto w prasie co jakiś czas przypomina się, że Rosja nie zwróciła Chinom terenów zabranych w XIX w.

A zagarnięty obszar jest pokaźny, liczy bowiem ponad milion kilometrów kwadratowych, czyli tyle, ile wynosi powierzchnia Francji z Niemcami razem wzięte. Znacznie więcej niż liczy powierzchnia Tajwanu. Zamieszkują go rdzenni Chinci, w większości przymusowo ochrzczeni przez prawosławnych popów.

Chiny nigdy nie zaakceptowały narzuconych przez carską Rosję traktatów: tego z Ajgun (1858 rok) i z Pekinu (1860 r.), i przez wiele lat walczyły o ich unieważnienie. Dla Chińczyków zajęcie obwodu amurskiego, Kraju Nadmorskiego i połowę Kraju Chabarowskiego, to byłoby odwróceniem historycznej krzywdy.

Czy Rosja dobrowolnie odda zajęte tereny? Tak by się stało przy bardzo niekorzystnych dla niej okolicznościach. O pretekst do „renegocjowania” przebiegu granicy rosyjsko-chińskiej nie powinno być trudno. Chiny bez problemu mogą zażądać zwrotu zagarniętych ziem. Jak na razie czekają na nadarzącą się okazję i zwiększają ekspansję: łowią ryby na nieuregulowanych wodach Arktyki, powiększając liczbę Chińczyków na rosyjskim terenie, pozyskując bogactwa Syberii oraz budując szerokie, betonowe drogi do granic z Rosją.

Lubin, sierpień 2023 r.

Józef Wyspiański

Spis treści numeru 164

Str.

3. Kartka z pamiętnika. W. Zawadzki. Dlaczego zostałem lekarzem. Wspomnienia (IV).
28. J. Tarnawski. Samotna Chata.
29. Wydarzenia z powiatu Przemyślany podane w *Kurierze Lwowskim* (II).
36. M. Kuleba. Armia Lucyfera (I).
41. J. Wyspiański. Wykaz ofiar zbrodni popełnionych przez nacjonalistów ukraińskich na osobach narodowości polskiej w pow. Przemyślany (XXXIX).
42. Z. Abramowicz. Pytania bez odpowiedzi.
45. Pokłosie naszych publikacji (T. Fojgt).
46. Listy do redakcji.
47. Informacje.

Kartka z pamiętnika

Red. Poniższy tekst został wybrany z książki Władysława Zawadzkiego „Dlaczego zostałem lekarzem. Wspomnienia.” Rozmowę z autorem przeprowadził i wstępnie zredagował Janusz Rozwadowski. Redakcja dziękuje wydawnictwu Poligraf i p. Januszowi Rozwadowskiemu za zgodę na przedstawienie wspomnień w naszej gazecie oraz dokonanie niewielkich skróceń tekstu.

Władysław Zawadzki

Dlaczego zostałem lekarzem. Wspomnienia (cz. IV)

Przyjechali! Radość ogromna! Jest mama, ukochana, są siostry, brat, jest ojciec. Ojciec, mimo że nie był starym człowiekiem, sprawiał wrażenie zmęczonego tym wszystkim, zniechęconego, nie miał chęci do pracy od nowa, na obcej ziemi, w obcym gospodarstwie. Tam włożył tyle pracy, tyle wysiłku w budowę domu, gospodarstwa i poszło z dymem wszystko. I co? Teraz zaczynać od nowa? Czasy niepewne. Panowało przekonanie, że to wszystko tymczasowe, że niedługo będą wracać do siebie. Nawet do końca się nie rozpakowywali, tylko żyli w oczekiwaniu na powrót. W sierpniu przyjechali. Zamieszkali w zajęтым przeze mnie gospodarstwie. Zboże stało w polu, czekało na zebranie. Razem z niemieckim gospodarzem zbierali zboże i inne płody rolne.

W tym gospodarstwie były dwa domy. Coś jakby „bliźniaki”. Z jednej strony był dom, część mieszkalna, obora, stodoła. Po drugiej stronie tak samo. Wyglądało na to, że wcześniej mieszkali tam dwie rodziny, było dwóch gospodarzy. Kiedy moja rodzina się wprowadziła, był jeden gospodarz. Nie wiem, jak się nazywał ten Niemiec. Nie byłem wtedy tym zainteresowany. Wiem tylko, że miał trzech synów i wszyscy polegli na froncie wschodnim. Mieszkała z nim jakaś pani z córką i one były z Berlina. Jak alianci bombardowali Berlin, to przesiedlano z niego cywilów i tym sposobem znalazły się one w Roztoce. Gdy ojciec przyszedł z rodziną, to dotychczasowi gospodarze przenieśli się do drugiego domu. Ojciec mój znał język niemiecki, porozumiewali się bez problemów, nie było tam

żadnych konfliktów. Oni zostawili ojcu część sprzętów, nawet zastawę, naczynia, sztucce. To, co zebrali z pól, podzielili solidarnie między siebie, żeby przetrwać do następnego roku. W 1946 roku wysiedlono ich na zachód i moja rodzina została samodzielnie w gospodarstwie.



Gospodarstwo rodzinne - widok obecny.

[Niespełna dwudziestojednoletni młodzieniec wyrwany ze swojej macierzy, oderwany od rodziny przed laty jako siedemnastolatek, żyjący przez ostatnie lata w niewoli staje w nowej rzeczywistości na obcej ziemi, która ma być teraz jego domem, jego ojczyzną. Wychowany w tradycjach ziemiaństwa, przepojony ideałami szlachectwa pod przymusem staje się częścią nowego systemu, który zaczyna wdrażać nowe porządki w warunkach niewyobrażalnego spustoszenia ekonomicznego, społecznego, w warunkach nieistnienia jakiegokolwiek infrastruktury przemysłowej, w warunkach, w których brakuje wszystkiego, gdy dawne ideały legły pod buciem okupantów. Najlepsi synowie tego narodu w dużej części umarli. Matki ciągle nie mogą powstrzymać łez rozpacz, mając przed oczami widziane nie tak dawno obrazy przeżytych tragedii, rozgrywających się potwornych zdarzeń. Wraca Władysław Zawadzki, syn Marcina, z niewoli niemieckiej. Wraz z przyjaciółmi zamierza dotrzeć do swojej rodzinnej ziemi, do Plenikowa, gdzie się urodził, gdzie jego korzenie. Siły rządzące już w nowej rzeczywistości zatrzymują go i jego przyjaciół oraz wielu mu podobnych na nowej ziemi. Siły te wkręcają go w tryby maszynierii, która przez wiele lat będzie mleć stare na nowe. Szybko dowiaduje się, że nie ma już jego ojczyzny tam, gdzie ją zostawił. Orientuje się w przyspieszonym tempie, że ideały, które wpajali mu dziadkowie i rodzice, też tam zostały

i lepiej o nich zapomnieć. Tysiące Polaków przesiedlonych z dawnej ojczyzny zajmuje miejsca tysięcy dotychczasowych mieszkańców tej ziemi, którzy zostają wyrzuceni z dnia na dzień do nowej ojczyzny. Nowi zajmują domy, gospodarstwa, zaczynają używać garnków i talerzy swoich poprzedników. Karmią ich krowy i świnie. Koszą zasiane przez nich zboże i sieją na ich ziemi nowe zboże. Ile bólu, ile tragedii, ile łez. Rozpacz, że tam zostało wszystko. Nadzieja, że będzie lepiej. Poznawanie nowego, adaptacja do nowej rzeczywistości, poznawanie nowych sąsiadów, nowej okolicy to był proces niełatwy i długotrwały. Życie nie zna i nie lubi pustki. Tutaj zmarł pierwszy krewny i sąsiad, tam urodziło się pierwsze na tej ziemi dziecko, rodziły się nowe znajomości, nowe miłości, nowe nienawiści. I nadzieja. Nadzieja - nieodłączny warunek tworzenia przyszłości, tworzenia nowego. Nadzieja, której czepiali się wszyscy, nadzieja dawana im przez nową władzę i zabierana przez krążące plotki, że poprzedni mieszkańcy tej ziemi wrócą, że to wszystko tymczasowe, że nie są u siebie. Wielu nie rozumiało tego, co się dookoła dzieje. Wielu pogrzebało dawne wartości. Ale byli też tacy, którzy nie chcieli nowego, chcieli jak dawniej. Nic jednak nie mogło zniszczyć marzeń. Każdy mógł mieć marzenia i próbować je realizować. J. R.]

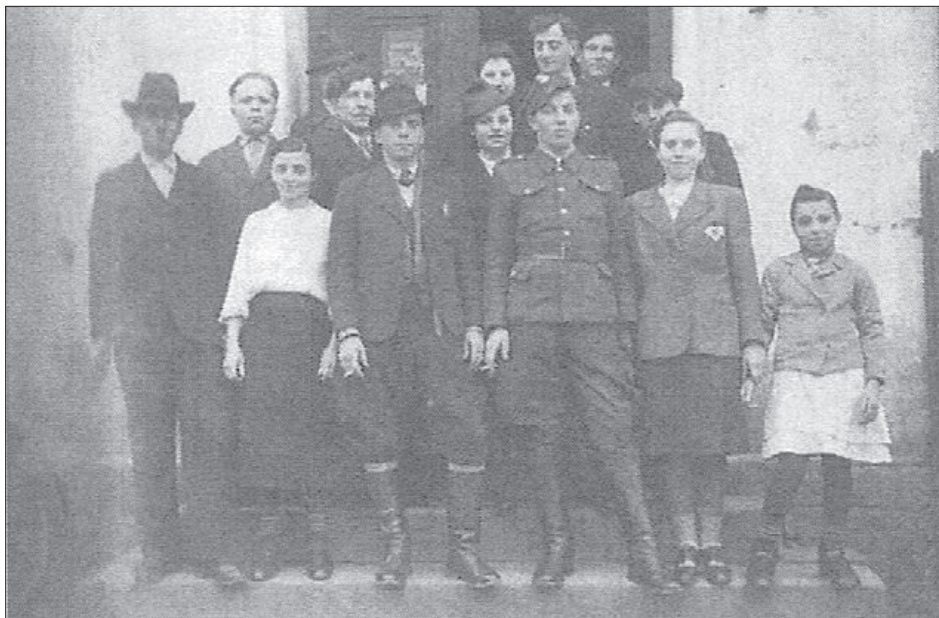
* * *

Co się stało, że znalazłem się w milicji w 1945 roku? Wcześniej o tym mówiłem. To nie był wynik moich ideałów, to zadziałał przypadek. Mogłem już w 1945 roku odejść. Ale co wynikało z tego odejścia? Wcielono by mnie do wojska i wysłano na wschód do walki z bandami. Lepiej było zostać jeszcze rok, dwa i mieć zaliczone wojsko. Byłem w wieku poborowym. A na wschodzie walka z bandami to nie przelewki. Tam nie było wiadomo, kto swój, a kto wróg. W każdej chwili można było dostać kulkę. Starałem się przetrwać dwa lata, dla zaliczenia służby wojskowej. Zdobyte stopnie też wliczano do stopni wojskowych. Naciskano, żebym został oficerem. Zastanawiałem się później, czy dobrze zrobiłem, że nie poszedłem do szkoły oficerskiej. Nie wiem. Nie żałuję w sumie. Wybrałem drogę, która pozwoliła mi zrealizować moje marzenie z dzieciństwa. Zawsze chciałem być taki jak ten lekarz wtedy. Jak opowiadałem, dziadek już szykował trumnę. Dziecko już na wykończeniu i nic nie pomaga. Naraz idzie się do jakiegoś młodego lekarza, on daje jakieś tabletki i za dwa dni dziecko zdrowe. Cud prawdziwy. Ozdrowiałem, przestałem krzyczeć. Dzisiaj rozumiem, co to było. Był to akurat moment wprowadzania

sulfonamidów, i to by się zgadzało z moim wiekiem. Lekarze prawdopodobnie dostawali próbki do testowania na chorych. Ja chyba miałem jakiś stan zapalny.

Rozdział X. Rok 1946

[Mówią, że miarą inteligencji jest zdolność przystosowania się do otaczającej rzeczywistości. Zdziwiającą przemianę przeszedł Władysław Zawadzki, ukończywszy dwadzieścia jeden lat. Takie stwierdzenie przychodzi mi na myśl po wielogodzinym słuchaniu opowieści przeżyć pana Władysława i wspomnień z tamtego okresu, okresu jego młodości. Jakim był ten bardzo młody człowiek, który widział i przeżył okropności spowodowane okrucieństwem czy to sąsiadów, czy to okupantów deptających tamte ziemie. Poraża mnie w jego opowieściach pogodzenie się z losem, jego zgoda na to, co może się wydarzyć, choćby najgorszego, choćby utrata tego, co najcenniejsze - życia. Znosił z niezwykłym spokojem okoliczności i zdarzenia, które go dotyczyły. Filozofią młodego człowieka było bierne poddanie się losowi. Uważał, że i tak nie ma wpływu na bieg wydarzeń. Wydawało się, że szedł jak baranek na rzeź. Wzięty w łapance na roboty przymusowe, wywieziony setki kilometrów od domu, wbrew wszelkiej logice ucieka stamtąd. Gdy staje w progu ojczystego domu, nieświadomi jego losu matka i ojciec czynią mu wyrzuty. Miesiącami śpi poza domem, często w polu lub w lesie, ukrywając się przed kolaborantami. Gdy oprawcy spod znaku tryzuba puszczaają na jego oczach z dymem dom rodzinny, on, idąc z polecenia matki zdobyć coś do jedzenia, zostaje znowu pojmany w ulicznej łapance, wywieziony w nieznane i zmuszony do niewolniczej pracy. Pogodzony, z tym co się dzieje, z tym, co może nastąpić, doczeka końca wojny. Gnany tęsknotą za rodziną, za ojcowizną, za ziemią rodzinną i niepokohowanym instynktem zmierza w zawierusze kończącej się wojny do rodzinnej wsi. I znowu los ma dla niego inny plan. I znowu przyjmuje Władysław z niezmaconym spokojem wyroki boskie. Na nowej ziemi, którą Bóg i los wyznaczyły dla niego, znajduje swoje miejsce. W tym nowym, obcym, nieprzyjaznym miejscu znajduje swoją szansę. Nie rozważa, czy decyzje możliwych tamtego świata są na stałe, czy są tymczasowe. Podejmuje rękawicę, przyjmuje wyzwania i wyznacza sobie cele. Jest już innym człowiekiem. Nie biernym Władziem, pogodzonego z losem, lecz zdecydowanym, wiedzącym, czego chce, Władysławem, znajdującym



Na progu domu rodzinnego w Roztoce. Autor w mundurze otoczony bliskimi i przyjaciółmi. Po jego prawej stronie starszy brat, Michał.

swoje możliwości, wierząc w to, co robi, niemożliwie upartym i pracowitym do granic absurdu. I teraz ja rewiduję swoje powyższe stwierdzenie. Zadaję sobie pytanie, czy rzeczywiście przeszedł przemianę ten młody człowiek, czy był zawsze taki? Czy zawsze był sobą, wpasowującym się w rzeczywistość, inteligentnym, myślącym, potrafiącym płynąć z nurtem, wybierającym z otaczającego świata to, co najlepsze?

I nieodparcie rodzi się nowa teza: Władysław Zawadzki miał zawsze niezwykłą zdolność przystosowania się do otaczającej go rzeczywistości. I jeszcze jedno! Czy należy tu mówić o przemianie? Przecież Władysław urodził się pod znakiem Strzelca, w trzeciej dekadzie tego znaku: „silny wpływ Saturna przy słabym wpływie Jowisza powoduje brak rozmachu życiowego, przy silnym natomiast wpływie Jowisza a słabym Saturna, występuje skłonność do podejmowania ryzykownych decyzji i nieanalizowania swoich błędów”. J. R.]

Ja oczywiście, ponieważ zdobyłem krótką broń, jeżdżę z innymi na patrole, po miejscowościach powiatu jaworskiego. W Strzegomiu sta-

cjonowała duża jednostka wojsk radzieckich. Zajmowali koszary. Oni jeździli po tych terenach i łupili, grabili, co się dało. Zabierali inwentarz żywy i martwy, porcelanę i zastawę. Niemcy to mówili w ten sposób: „ruski był i capcarap”. My mamy obowiązek bronić przed tymi grabieżami. Wprowadzana jest praworządność i tak dalej.

Społeczeństwo generalnie nie było przychylnie nowej władzy. Byli to ludzie napływowi z terenów dawnej Rzeczypospolitej, którzy bykiem patrzyli. Chyba że byli w potrzebie. Wtedy podnosili krzyk i zwracali się o pomoc do władzy. Patrzyli na władzę nieufnie i mało przychylnie. Jednocześnie społeczeństwo było bardzo solidarne wobec siebie.

Był to okres walki o władzę, a właściwie o utrzymanie, utrwalanie władzy ludowej. W milicji dbano o wizerunek, o moralność i etykę. Nie stosujących się do zasad wyrzucano. A jak milicjant popełnił przestępstwo, to szedł pod sąd. W okresie tym nie wiadano, kto i co.

W każdej wsi już jest telefon. Dzwonili o różnych porach dnia i nocy na posterunek. I słyszymy kod i informacje „ruski capcarap”. To my, milicjanci, na rowery, bo mieliśmy rowery, i jedziemy. Często po przyjeździe okazywało się, że już uciekli. Często jednak zastawaliśmy grabieżców przy pracy. Wchodzimy z Ruskimi w kontakt, widzimy, co oni zabierają. Sprzęty różne, maszyny do szycia, porcelanę, zegary. Każemy wszystko zostawić, nie wolno zabierać. Mają Ruscy co prawda broń, ale nas respektują jako władzę i stosują się do poleceń. Często ustępują, zostawiają wszystko. Pewnego razu przyjeżdżamy po telefonie do Kłaczyny. Ich jest po cywilnemu kilku. Przyjechali konnym wozem prawdopodobnie ze Strzegomia. Już naszabrowali cały wóz. Oni się stawiają, ale my mamy przewagę. Bez większego gwałtu odbieramy im broń i zabieramy ich na posterunek. Przyprawiamy ich na posterunek, do Dobromierza to było z tej Kłaczyny jakieś osiem kilometrów. Jeden starszyna, jeden szeregowiec. Zamknęliśmy ich w jednym pokoju. Nie było na posterunku celi. Ale rano myślimy co z nimi dalej. Kazano mi jechać do Bolkowa, do komendantury, żeby oni się tym zajęli. Jadę na rowerze do Bolkowa, dostaję się do komendanta - nie było łatwo, bo ciągle zajęty. Powiedziałem, że mamy zatrzymanych szabrowników, Ruskich, i co mamy robić? Mnie każe jechać z powrotem i posyła tam jednego ze swoich ludzi. Wróciłem z tego Bolkowa. Łatwiej było wracać, bo miałem już z górki. Po jakimś czasie przyjeżdża kapitan. Wyjaśniamy sytuację. Rany boskie! Coś takiego, co zobaczyłem, to pierwszy raz w życiu! Kapitan strasznie zbił tego Ruskie-

go. Zmasakrował go tak dalece, że ja, narwaniec, wystąpiłem przeciwko temu. Był cały zakrwawiony, niesamowicie pobity. Skoczyłem:

- Dość! On jest tutaj zatrzymany i nie wolno go bić!

Kapitan zdziwił się moją reakcją, że się wtrącam w jego działania, ale się opanował. Kazałem pobitemu odejść, się umyć i powiadam do o-prawcy:

- Jak będziesz u siebie, to możesz robić, co chcesz! Nawet zabić! Ale tutaj nie wolno!

Mój komendant też był zadziwiony moją postawą. Komendant nie znał rosyjskiego, ale pojął, że się postawiłem niskiemu kapitanowi. Oczywiście jego zabrali i pojechali. Co było dalej, nie wiem, w każdym razie jeden taki incydent się zdarzył w kontaktach polsko-rosyjskich.

W 1946 roku Niemcy zostali wysiedleni i wyjechali na zachód. Wcześniej jednak nie wszędzie było tak pokojowo. Inni Niemcy niechętnie wpuszczali do swoich gospodarstw Polaków. Były awantury. Ja byłem w tym czasie w milicji i często jeździliśmy interweniować. Pewnego razu w Kłaczynie pojechaliśmy na interwencję. Polacy dostali przydział, a Niemiec nie chciał ich wpuścić. Kazaliśmy wpuścić Polaków, a on żołnierz, dopiero co wrócił z frontu, wystąpił z widłami w obronie swo-



Władysław Zawadzki (w mundurze) wśród rodziny na rodzinnej ziemi.

jego domu.

Tak! On wrócił do siebie i nikt nie ma prawa chodzić po jego domu. Myśmy go trochę postraszyli i zabraliśmy na posterunek, żeby wyjaśnić mu obecną sytuację. Założyliśmy mu kajdanki, żeby się uspokoił, i poszliśmy na posterunek, wtedy Wysokiej Góry, obecnie Dobromierza. Idąc na posterunek, podczas podchodzenia do góry zostajemy ostrzelani. Był tam opuszczony zamek i z tego zamku ktoś do nas zaczął strzelać. Nas było trzech albo czterech, nie pamiętam dokładnie. Padamy na ziemię, oczywiście, Niemiec też pada na ziemię. Pomału zaczęliśmy skradać się w stronę zamku. Wtedy jeszcze sporo było różnych z bronią, również Niemców, chowali się po lasach. Strzały ucichły i poszliśmy na posterunek. Komendant spisał Niemca i wytłumaczył, że ci Polacy muszą u niego zamieszkać i nie ma odwołania. Jak się zgadza, to może iść, a jak nie, to zostanie aresztowany. Komendant mu tłumaczył, że to może tylko tymczasowo. On zgodził się oddać pół domu tamtej rodzinie. Został zwolniony do domu. Mieliśmy w każdym razie taki incydent z interwencją, który mógł się źle skończyć, bo pamiętamy, że z tego zamku do nas strzelano. Tak mniej więcej wyglądało to osiedlanie Polaków.

Było wiele takich incydentów, mniejszych lub większych, na wsiach, gdzie Niemcy nie chcieli wpuszczać i musieliśmy interweniować. Najczęściej my też tłumaczyliśmy, że to jest tymczasowe. I tym sposobem Polacy z Niemcami gospodarowali wspólnie. Niemcy prowadzili swoje gospodarstwa w dalszym ciągu, mieli swój inwentarz. Nawet na wiosnę czterdziestego szóstego obsiali ziemię, sadzili okopowe. Kiedy wysiedlało się tych Niemców ostatecznie, to przypominam sobie taki incydent, gdy przychodzimy, wszyscy spakowani, gotowi do wyjazdu i nagle Niemka była i nie ma Niemki. Zastanawiamy się, czy uciekła. Ale gdzie by miała uciec? Pozostali Niemcy są spakowani, wiedzą, że mają się stawić na dworcu kolejowym. My tam przyjeżdżamy pilnować, żeby nie było żadnych awantur. Ale gdzie ta pani się podziała? A ten Niemiec powiada, że ona chyba jest w ogródku. Idę do tego ogródka, patrzę, faktycznie! Ona ma spakowane wszystko już, swoje walizki, a poszła jeszcze okopowe obrabiać. Czekala, to jeszcze poszła, żeby obrobić jakieś buraki czy coś takiego. To jest właśnie niemieckie poczucie odpowiedzialności. Nic nie może się zniszczyć, trzeba o to zadbać, mimo że wie, iż z tego nie będzie nic.

Niemcy, którzy opuścili zajęte przez Zawadzkich gospodarstwo,

w późniejszych latach odwiedzali je. Tak! Potem nawiązali kontakty i oni przyjeżdżali, i byli bardzo zadowoleni, bo tak jak wszystko zostawili, tak zastali. Tam wszystko jeszcze jest. Nawet stara brama metalowa i budynki wszystkie są. Byli bardzo zadowoleni, jak przyjeżdżali do siostry. Wcześniej, jak ojciec żył, to nie przyjeżdżali w tym czasie. Siostra moja wyszła za mąż za człowieka o nazwisku Wolf, a on wcale nie znał niemieckiego. Miał takie nazwisko i im to się podobało. Ci starzy już nie żyją. Z tego co wiem, przyjeżdżali kilkakrotnie. Cieszyli się, że się nic nie zniszczyło. Obecnie to wygląda tak, że nie ma gospodarstwa. Dom jest, oczywiście, zabudowania są, ale nie ma inwentarza, stodoła jest pusta, nikt dzisiaj nie składa zboża, kombajn młóci już na polu, wszystko się zmieniło. Ale wszystkie budynki stoją.

Teraz na marginesie jeszcze taka historia. Powiedziałem, że tam były dwa konie. Nie te niemieckie, ale jakieś małe kucyki, dwa siwki. Pewnego razu jedziemy z patrolem, jest nas pięciu na rowerach, jedziemy po wsiach. Podjeżdżamy pod gospodarstwo, które zająłem w Roztoce, jeszcze rodziców wtedy nie było. Patrzę, a Rosjanie wyprowadzają konie.

Żołnierze radzieccy. Rany boskie! Konie wyprowadzają! Ja do nich. A tam jest pełno tych żołnierzy, jest jakiś oficer. Konie już są przypięte do jakiegoś pojazdu, chyba konny, dokładnie nie pamiętam. Jest noc, oświetlenia nie ma. Ja w tym czasie miałem pepeszę.

Mówię, żeby zostawili konie! Oczywiście po rosyjsku, bo znałem ten język. A oficer, światło jednak jakieś tam było, wyciąga pistolet i celuje we mnie. Jak mi przyłożył pistolet do klatki, to ja mu przyłożyłem pepeszę do brzucha. Naciągnąłem zamek karabinu. Oficer zmiękł, opuścił pistolet. Mówię do niego:

- Zostaw konie! To jest zajęte, to jest moje!

- Ja mam stado zwierząt, koni, i muszę te zwierzęta doprowadzić w określone miejsce. Wszystko jest policzone i spisane. Skradziono mi dwa konie. Jeżeli ja zapisanej grupy nie doprowadzę, to czeka mnie zsyłka. Wojowałem, doszedłem do Berlina, teraz wracam i pójdę na Sybir.

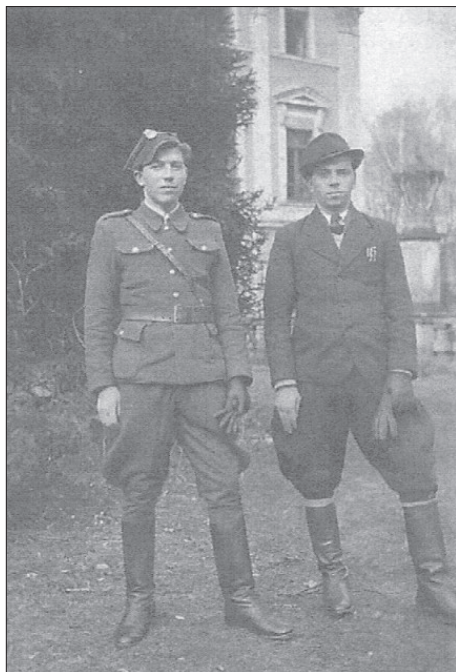
- A co mnie to obchodzi, to moje konie.

- Zrozum mnie! Ty sobie jakoś zagospodarujesz! Czy chcesz, żebym ja jechał na Sybir za to wszystko?

Ja tak słucham jęgo, słucham, ale co? Jak przyjadą, nie będzie koni. My tutaj z jednej strony dyskutujemy, a tamci z końmi odjechali. Konie zaczęli do jakiegoś pojazdu i odjechali. On mi opowiada, co się z nim

stanie, że wyślą go na Sybir, a on nie był w stanie upilnować takiego dużego stada. Ktoś z nich sprzedał prawdopodobnie, a on pójdzie do łagru. Ale ponieważ koni i tak już nie ma, a jeszcze do tego taka śmieszna sytuacja, ja stoję do walki, jest nas pięciu, jeszcze czterech moich kolegów, wszyscy wpadli do rowu, każdy karabin trzyma, ale siedzą jak trusie. Nikt się nie odzywa, nie ma ich. Położyli się w rowie i czekają na rozwój wypadków. A ja czuję, że on w każdej chwili może pociągnąć za spust, ale wiem, że jak on pociągnie, to i ja pociągnę. Zginę! Że zginę, to już dawno się z tym pogodziłem. Na pewno nie oddam skóry za darmo.

Przez ostatnie lata miałem zawsze to w myśli: zginę, ale nie za darmo. Myślałem tak: dookoła jest wojna, słyszało się i widziało, że ludzie giną, że ktoś musi zginąć, to i ja mogę. Tak się szczęśliwie złożyło, że z mojej rodziny nikt nie zginął, ten jest w Niemczech, ten wyjechał z tego kontyngentu, ja zostałem złapany, myślałem sobie, że w końcu ktoś padnie. Ale ktoś zostanie. To nie będzie tak, że ja zginę i już koniec. Są bracia, siostry. Miałem poczucie pogodzenia, że jak zginę, to nienadaremnie. Ja cały czas myślałem, że będę mógł wrócić do swojego Plenikowa, jakoś tam wszystko zagospodarować. Dziadek Czajkowski zawsze planował, że to mnie wszystko odda. Dziadek wręcz byłby szczęśliwy, ponieważ nie miał męskiego potomka, gdybym przyjął nazwisko Czajkowski. Nie miał potomka i zdawał sobie sprawę, że Czajkowskich nie będzie, gdy on umrze. Tamci Czajkowscy są już prawosławni. Nigdy dziadek nie nalegał na to bardzo. A ja myślałem, że to jest dużo ziemi i będzie można to zagospodarować. Wtedy liczyło się co? Cały majątek to była ziemia. Kto miał ziemię, ten był panem, mógł wyżywić siebie i ro-



Autor ze starszym bratem Michałem,
rolnikami w Roztoce.

dzinę i żyć. Kto siał, orał, ten żył. Kto nie miał ziemi, to miał biedę. Żył z tego, co zarobi przez lato, lecz zazwyczaj klepał biedę. Bieda wtedy była niepospolita w tych wsiach. Jeżeli mieli ziemniaki, kapustę, buraki, to całe ich wyżywienie było. Mięso to jedli, jak był odpust, drób jedli w tym czasie, no i oczywiście na święta. Na święta jadł mięso ten, co miał, nie wszyscy mieli. Na święta musiało być święcone, głównie jajka. Wtedy to bieda była niesamowita. Ziemniaki to był cały luksus, jeszcze jak kapusta była, a już tak zwana omasta, smalec, masło, to ho ho! Chleb był wydzielany, każdy dostawał kromkę i koniec. Jak ktoś miał coś do posmarowania, to było dobrze, ale smarowali cieniutko. Po wojnie myślałem początkowo, że się tam wróci, że będzie się to jakoś rozkręcało.

* * *

Przed szkołą pracowałem w Namysłowie. Najpierw skierowany zostałem do Wrocławia, a z Wrocławia do Namysłowa. W Namysłowie był kolega kapral podchorąży, który organizował posterunek. Miasteczko było kompletnie spalone. Ostał się tylko browar i ratusz. Przyjechało nas wtedy pięciu. Mieliśmy pomóc w organizowaniu „życia”. Była zima. Dostaliśmy pokój, łóżka żelazne, siennik wypchany słomą, dwa koce, zagłówek ze słomy. Zimno, nieopalone, bo nie ma czym. Przykrywałem się kocami, na to płaszcz. Mimo to zimno nie pozwalało zasnąć. Na stołówce ledwo jakieś kartofle mają, biednie, ubogo, głodno. Przysłali nowego komendanta oficera, byłego partyzanta. Zaczęło się lepsze życie. Przeniesiono nas do innego budynku, nowego, gdzie warunki były znacznie lepsze. W stołówce bardzo się polepszyło. Żywność lepszej jakości i jest jej więcej. Zastanawiałem się, co się dzieje. Kwitł handel. Różni tacy jeździli na Dolny Śląsk i bez pozwoleń usiłowali wywozić do centrali różne rzeczy. Tutaj organizowali towar i wieźli do centrali. Jak taki został złapany, to próbował iść na ugodę. Będąc razu pewnego z kolegą na patrolu, zatrzymałem samochód ciężarowy. Wiózł półtusze wieprzowe. Zatrzymaliśmy go, jedziemy na posterunek, do komendanta. Komendant prowadzi dalej sprawę. Po kilku godzinach kierowca został zwolniony i pojechał. Okazało się, że odpalił dolę na rzecz komendy i resztę powiózł dalej. Tak rodziło się i kwitło nowe życie. Szabrownicy i złodzieje musieli wspomagać organa władzy, która jednocześnie musiała iść na pewne ustępstwa wobec tych, których powinna tępić.

W Namysłowie, jak wspominałem, nie było nic. Pustka. Okoliczne wsie również opustoszałe. Zagrody puste, ani świnie, ani krowy, ani

konia. Postanowiono wyruszyć w okolice Bystrzycy, gdzie było dużo inwentarza, i przerzucić część tutaj. Administracja, a my jako obstawa, pojechaliśmy. Miał być cały pociąg załadowany. Był z nami w obstawie jeden kolega, który miał w Wałbrzychu rodzinę. Odłączyliśmy się i pojechaliśmy odwiedzić jego rodzinę. Tam nocujemy. Śpię i naraz budzi mnie jakaś rozmowa na korytarzu:

- To kolega z milicji. - Poznają głos gospodarza, czyli mojego kolegi.

- To co! Mam go załatwić?

- Nie. On jest w porządku.

Osób było więcej. Kolega miał dużo informacji o mnie. Ja leżę bez ruchu i liczę się, że to może być mój koniec. Przeraziłem się. Oni odeszli i ja zasnąłem. Rano po skromnym śniadaniu dołączyliśmy do konwoju. Pociąg został załadowany. Zaprosiłem kolegę do Roztoki. Pociąg szedł długo i z przerwami. W Roztoce przenocowaliśmy i dotarliśmy w końcu do Namysłowa. Starostwo rozdało przywieziony inwentarz. Po trzech miesiącach UB zamknęło tego kolegę. Prawdopodobnie działał na szkodę. Byłem wzywany na przesłuchania:

- Kto to dla mnie jest?

- Kolega. Dobry kolega. Porządny chłopak.

- To jest wtyczka z AK.

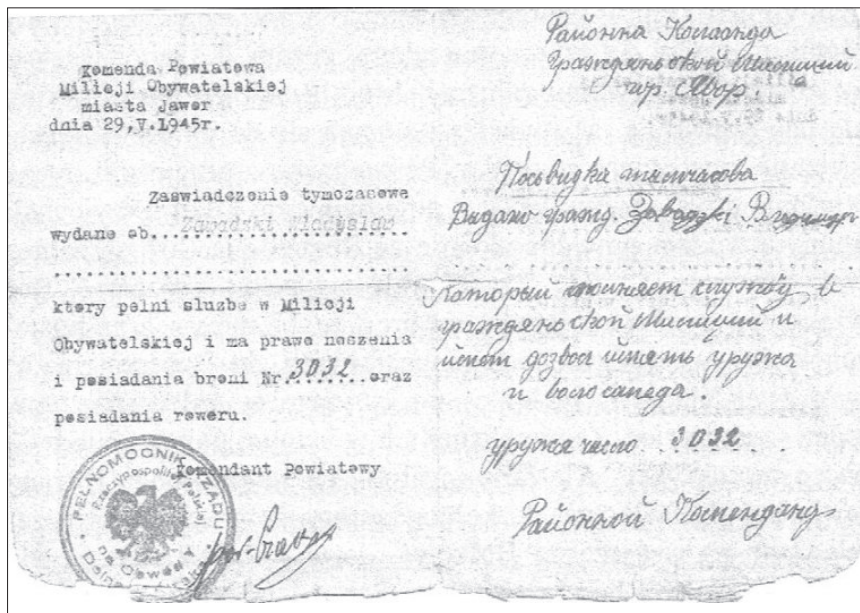
- No to co, że z AK. To dobry człowiek i dobry milicjant.

Nie słuchali mojej opinii. Nie wiem, co z nim się dalej stało. Gdybym ja w czasie wojny nie został wywieziony na roboty, to być może też znalazłbym się w AK. Była to formacja walcząca z Niemcami i pewnie zostałbym akowcem.

* * *

Teren za Kaczawą był po zakończeniu wojny zajęty przez Rosjan. To, co do Kaczawy, to było polskie. Polaków przybywało i zaczęli wkra-
czać coraz śmielej na tereny zajęte przez Ruskich. Było tam dużo domów i mieszkań pustych, dlatego Polacy zajmowali je. Zajętych pomieszczeń już nie oddawali, a i Rosjanie ich nie wyrzucali. Aż w końcu Rosjanie otoczyli „swój” teren murem i tam już nie wpuszczali Polaków. Za murem był sztab, koszary, mieszkały rodziny oficerów, dowódców. Tym sposobem Polacy pomалу przejęli szkoły, szpitale, budynki administracyjne, mieszkalne. Władze miasta w Legnicy miały podwójnie skomplikowaną sytuację. Z jednej strony nie zawsze zadowolony naród, napływowi oby-

watele różnego sortu, a z drugiej strony Rosjanie. Trzeba to wszystko było godzić. Nastawienie obywateli polskich do stacjonującej Armii Radzieckiej było negatywne. Dochodziło do różnych spięć. Polacy nie chcieli Rosjan w swoim mieście i widzieli w nich wrogów. To Rosjanie byli winni temu, że ich wyrzucono z domów na kresach i tam jest teraz ZSRR. A przecież była tam Polska, ich ojczyzna.



Pozwolenie na broń (i na rower) w czasie służby w MO. Po prawej stronie pozwolenie w języku rosyjskim.

Od 1945 Legnica znalazła się w granicach Polski. Przez krótki okres była siedzibą nowych polskich władz na Dolnym Śląsku, ponieważ Wrocław był zbyt zniszczony. Dziewiątego lutego 1945 r. wojska radzieckie, nie napotykając większego oporu, opanowały miasto. Legnica przez czas wojny była właściwie nienaruszona aż do wejścia Armii Czerwonej. W maju 1945 wojsko radzieckie (przy milczącej aprobacie przełożonych) podpaliło zabytkową starówkę miejską. Podpalili też zamek, a także muzeum i dawne seminarium duchowne jezuitów. Wyludniona Legnica stała się punktem etapowym wojsk radzieckich i jednym wielkim

szpitalem dla rannych i chorych żołnierzy. Dziewiątego kwietnia 1945 r. nastąpił przemarsz II Armii Wojska Polskiego na linię frontu nad Nysę Łużycką. Dwudziestego piątego kwietnia przybyli pierwsi przedstawiciele cywilnych polskich władz administracyjnych i partyjnych. W latach 1946-1949 odbywały się ruchy migracyjne ludności, wysiedlenie mieszkańców narodowości niemieckiej. Uruchomiono szkoły podstawowe i średnie, muzyczną, 4 kina, miejską bibliotekę publiczną (1946 r.).

Miasto stanowiło tymczasową siedzibę wojewody dolnośląskiego oraz większości urzędów wojewódzkich. W lipcu 1945 wybrane zostało na siedzibę dowództwa Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Jesienią większość obiektów użyteczności publicznej była zajęta przez wojskowe władze radzieckie, wtedy też pozwolono na ponowne zasiedlanie miasta przez Polaków. W kwietniu 1946 zarząd miejski w Legnicy szacował, że było w niej 16 700 Polaków, 12 800 Niemców i ponad 60 000 Rosjan.

Rozdział XI. Rok 1945. Ciąg dalszy

Z nami do Dobromierza przyszły trzy dziewczyny, które przyjechały za nami z robót przymusowych. One zaczęły pracować w stołówce, w kuchni. Był kłopot z zaopatrzeniem. Radziliśmy sobie w ten sposób, że szliśmy do gospodarza, jeszcze wtedy Niemca, braliśmy, co było potrzebne, i wystawialiśmy pokwitowanie, na podstawie którego on dostawał zapłatę z urzędu. Pojechaliśmy kiedyś do gospodarstwa, majątku, gdzie komendantem był Rosjanin. Było tam dużo inwentarza. Napatoczył się Niemiec tam pracujący. Mówię do niego:

- Musimy zabrać jedną sztukę trzody. Musimy coś jeść.

- Ja tu nie rządzę! Jest komendant!

Jest komendant. Znowu ja za tłumacza robię:

- Jesteśmy prawowitą władzą na tym terenie. Rekwirujemy jedną sztukę. Dostaniesz pokwitowanie!

- To majątek państwowy! Tak nie można!

- Za to pokwitowanie dostaniesz zapłatę. Ludzie muszą jeść. Nie ma wyjścia.

- Ja się nie zgadzam!

- Nie masz wyjścia.

Świnka została zaciukana, mięso przerobione, zapeklowane, wyro-

by zrobione i tym sposobem radziliśmy sobie.

* * *

Pewnego razu przybiega jeden z koleżków - było nas tam trzynastu, a może czternastu - i mówi:

- Podszluchałem u komendanta, że przyjechał jakiś porucznik z wojska i szuka kandydatów do szkoły oficerskiej. Komendant zaproponował ciębie. Na pewno będziesz wzywany.

Myślę sobie: Plecie coś. Mnie na oficera? Ale po jakimś czasie zostałem wezwany do komendanta. Przychodzę:

- Szeregowy Zawadzki melduje się na rozkaz!

- Siadajcie szeregowy!

Siadam. Przybyły porucznik zaczyna zadawać mi pytania:

- Czy moglibyście powiedzieć, kto teraz jest prezydentem naszego kraju?

- Mościcki.

- Mościcki! Na pewno?

- Tak! Na pewno!

- A kto jest premierem?

- Skotkowski!

- Pewni jesteście? Nie mylicie się?

- Nie!

Patrzą po sobie. Widzę, że komendant dostał na twarzy kolory.

- A jak długo pracujecie w milicji?

- Od początku, jak wróciłem z przymusowych robót. Wraciałem do domu i zostałem zatrzymany w Jaworze na kilka dni. I tak jestem do tej pory.

Komendant się robi coraz bardziej kolorowy A ten się uśmiecha pod nosem.

- A macie tutaj jakieś szkolenia polityczne czy coś takiego?

- Tak! Mamy szkolenia. Prowadzi je zastępca komendanta.

Zastępca był w stopniu plutonowego, komendant był sierżantem.

- No a co tam przerabiacie?

- Różne rzeczy przerabiamy. Ale o czym to mówić? Wszystko jest wiadome i jasne od dawna.

- No dobrze. Dziękuję wam.

Odmeldowałem się i poszedłem do siebie. Zaraz koledzy zarzucają mnie pytaniami:

- To co? Pojedziesz? Będziesz oficerem?

- Nie wiem! Pytał, odpowiadałem. Zobaczymy!

Po chwili wezwali zastępcę komendanta. Plutonowy po wyjściu od komendanta nie był już zastępcą. Zarzucono mu niewykonywanie swoich obowiązków. Po jakimś czasie spotykam go:

- Ale mnie załatwiłeś!

- A co! Miałem iść do wojska?

- No nie! Ale za to ja wyleciałem ze stanowiska.

- Żałujesz?

- Wiesz, właściwie to i tak chciałem stamtąd odejść.

W Dobromierzu byłem do jesieni. Miałem możliwość wtedy zwolnienia się z pracy w milicji. Ale wiedziałem, że natychmiast zapomni się o mnie wojsko. Byłem w wieku poborowym. Bałem się wojska. Nie było spokoju, na wschodzie, południowym wschodzie toczyły się walki z przeciwnikami nowej Polski. Postanowiłem na razie zostać, żeby odrobić wojsko. Było nas w Dobromierzu już dziesięciu albo i więcej. Przyszedł rozkaz



Szkoła policyjna w Słupsku, stan obecny. Fotografię pobrano z portalu Facebook, domena publiczna.

redukcji. Pięciu z nas przeniesiono do Wrocławia.

* * *

Byłem w szkole podoficerskiej w Słupsku w 1946 roku. Trochę to wszystko śmiesznie wyglądało. Zostałem tam skierowany jako pracownik milicji. Pracowałem w tym czasie w Namysłowie. I dwóch z nas zostało skierowanych. Wyróżniałem się jakoś z tej grupy pracowników, bo komendant powiada pewnego razu: „Pojedźcie do szkoły oficerskiej!”.

Dwóch nas jedzie. Dostaliśmy skierowania, rozkaz wyjazdu i jedziemy. Jedziemy najpierw do Wrocławia, a stamtąd do Słupska. Oczywiście o ile zdamy egzamin wstępny. Egzamin będzie we Wrocławiu. Ja nie chcę iść do oficerskiej, bo tam trwa rok. A ja mam w planie szybkie wyjście z milicji. A kolega chce na oficerską. Mówię do niego:

- Słuchaj, może byśmy się podmienili. Ty pójdziesz do oficerskiej, a ja do podoficerskiej.

- Dobra! Mnie to pasuje!

Jesteśmy w komendzie we Wrocławiu, gdzie ma się odbyć egzamin wstępny. Komenda Wojewódzka była wtedy w tym samym miejscu co obecnie. Oprawdają nas po komendzie, ale nie mówią, o co chodzi. Chodzimy po różnych pokojach i na koniec wchodzimy do dużej sali, gdzie są stoły i krzesła, na stołach kartki i pióra. Sadzają nas i każą pisać. Przyszedł jakiś gość i powiada w ten sposób:

- Zwiedziliśmy komendę, byliśmy w pokoju takim a takim. Proszę opisać, co tam widzieliście, co zauważyliście.

Każdy opisuje, co widział. Następnie mówi:

- A w pokoju takim co zauważyliście?

I znowu każdy z egzaminowanych pisze, co widział. I tak wymienił kilka sal. Egzamin jak na szpiega. Ja, chodząc, nie zwracałem zbytnio uwagi, co w której sali się znajduje. Pisałem to, co zapamiętałem, co zauważyłem. Okazało się, że ja zdałem, a mój kolega nie zdał. Był załamany. On chciał, jemu zależało na tej szkole i nie zdał. Mnie nie zależało, a zdałem. On pojechał z powrotem, a ja pojechałem do Słupska. Nie spotkałem już później kolegi, mimo że po skończeniu szkoły pojechałem do Namysłowa po rower, który tam zostawiłem w depozycie. Rowera już nie było, ktoś sobie przywłaszczył. W Słupsku podzielili nas na kompanie, zostaliśmy skoszarowani. Szkoła mieściła się w obiekcie, w którym przed wojną była szkoła policji i obecnie też jest tam szkoła policyjna. Obiekt urządzony na wzór koszarowy: budynki mieszkalne, gospodarcze, plac apelo-



Centrum szkolenia MO w Słupsku. Apel kursantów przed budynkiem.

wy, place ćwiczeń, sale wykładowe. Dostałem się do piątej kompanii. Dowódcą był porucznik Michalak.

Każdy dostał miszkę, która służyła za talerz głęboki, za talerz płytki, za kubek. Umundurowanie dostaliśmy wojskowe. Hełmy dostaliśmy angielskie. Szkolenie było typu wojskowego, dostawaliśmy stopnie wojskowe. W tamtym czasie, a był to rok 1946, wszystkiego brakowało, wszystko tworzone było od podstaw z ruin. Również struktury władzy, struktury milicji obywatelskiej.

Wracając do Słupska. Centrum szkolenia MO. Znalazłem się, jak już wcześniej mówiłem, na szkoleniu na podoficera. Miało to trwać sześć miesięcy. Oficerów szkolono cały rok. Mnie zależało na czasie. Prowadzili to oficerowie, prawdopodobnie Wojska Polskiego. Moim dowódcą był Michalak, przedwojenny absolwent szkoły kadetów. Urodzony wojskowy. Wprowadził dryl wojskowy w naszej kompanii. Łącznie w tym czasie w szkole było tysiąc chłopów, dziesięć kompanii. Pobudka o godzinie szóstej, pięć minut na ubranie się i zejście na plac apelowy. Żadnego golenia, żadnej toalety porannej. Pięć minut i apel.

Po apelu ćwiczenia w terenie. Powrót i o godzinie ósmej śniadanie. Od dziewiątej rozpoczynały się wykłady. Tematyka bogata: musztra, tak-

tyka, uzbrojenie, historia, wiedza o Polsce i świecie, sprawy polityczne, administracja, również lekcje dobrego wychowania, prowadzone przez pana pułkownika. Szkoleni byli z różnych miejsc, różnych środowisk. Wykładano też podstawy kryminalistyki, metody dochodzeń, sposoby prowadzenia przesłuchań. O godzinie czternastej obiad. Po obiedzie dwie godziny przerwy, czas wolny i dalej wykłady. Dla każdej kompanii był opracowany tygodniowy rozkład zajęć. Oprócz wykładów były zajęcia z musztry, z samoobrony, z posługiwania się bronią, podnoszenie ciężarów fizycznej. Często ćwiczenia odbywały się w deszczu, przy wietrze. Warunki pogodowe nie miały znaczenia, program był realizowany. Często wracaliśmy z zajęć zmoczeni, ubłoceni. Był to nasz problem. Nasz dowódca zawsze nakazywał wyjście w pełnym oporządzeniu: plecak, hełm, broń, i do roboty. Po takich ćwiczeniach, a jeżeli jeszcze zdarzył się deszcz, to wszyscy parowali - wokół każdego unosiły się kłęby pary. A dowódca zimny i bezwzględny. Po powrocie zamiast wolnego czasu pranie, czyszczenie broni, glansowanie butów. Przed snem wszystko musiało być na cacy, złożone w kostkę na swoim miejscu. Inaczej szef kompanii rozwaliał wszystko i cała sala musiała robić porządek. Za jednego karani byli wszyscy.

Mieliśmy takiego jednego lebiegę, nigdy nie nadązał. A to nie za pięty, a to brak guzika, a to buty brudne. Za niego cała kompania dostawała w kość. Pewnego razu koledzy kocówę mu zrobili. Został okrutnie obity. Dowództwo prowadziło dochodzenie, kto to zrobił. Oczywiście nie znaleziono winnych. Cała kompania w pole i ćwiczenia. Na zajęciach z pływania był taki jeden, co bał się wody. Wszyscy w wodzie, a on za żadne skarby nie wejdzie do wody.

Zdarzyło się raz pewnego, że ćwiczymy w polu natarcie, czołganie itp. Lał deszcz, było gorąco i parno, my w całym rynsztunku, z każdego paruje. Jeden z kolegów zemdlął. Dowódca podbiegł i butem go usiłuje pobudzić do działania. Ten leży zemdlony, wtedy zreflektował się i kazał go cucić. Była z tego mała afery, bo ktoś doniósł do dowódcy szkoły i nasz miał kłopoty. Nasza kompania była swojego rodzaju karną kompanią. Gdy w innej ktoś podpadł, to kierowano go do naszej piątej kompanii za karę. Była to szkoła życia. Nauczono nas dyscypliny i zasad służby. Materiał ludzki był, jaki był, wymagał kształtowania. Nasza kompania dzięki swojemu dowódcy była we wszystkim na przedzie.

Niedziela była dniem wolnym od zajęć. Była możliwość wzięcia

przepustki i wyjścia do miasta. Przeważnie uczyliśmy się. W tygodniu na naukę nie było za wiele czasu. Miałem kolegę, który znał stenografię.

Korzystałem z jego stenogramów, było to dla mnie bardzo pomocne w nauce. On najpierw wszystko ze stenogramów przepisywał, a ja później od niego spisywałem. W niedzielę rano zbiórka i wszyscy idą do kościoła. Cała szkoła, wszystkie kompanie szły do miasta do kościoła. Rok 1946, chodziło się do kościoła. Jeżeli ktoś nie chciał iść, to nie musiał. Zostawał na terenie szkoły. Zatrudniany był do prac porządkowych: sprzątanie korytarzy, ubikacji, porządkowanie placu.

Dziwne było, że kto poszedł na przepustkę do miasta, to już więcej nie chciał z niej korzystać. Postanowiliśmy z kolegą, że pójdziemy. Poszliśmy w pięciu. Pogoda ładna, fajny spacer. Następnego dnia wszyscy, którzy byli na przepustce, zostali wezwani do wystąpienia. Szef nas gdzieś prowadzi. Nie wiemy, o co chodzi. Zaprowadził nas do lekarza. Patrząc, a to poradnia wenerologiczna. Szef czeka z boku, a każdy z nas po kolei wchodzi do gabinetu. Co który wyjdzie, to widzę, że cały czerwony, za-wstydzony. Pytam:

- Co się dzieje?

- A daj spokój! Zobaczysz! - i zły ucieka na korytarz.

I już więcej nie korzystałem z przepustki. A trzeba powiedzieć, że dziewczetek wszelakich pełno kręciło się po mieście, zwłaszcza po parku. Co siadłeś na ławeczce, to już się przysiadają. Panienki chętne do usług. Byłem osobiście ostrożny z panienkami tego typu. Poza tym chodziła fama, że trzeba uważać, bo prawdopodobnie nas śledzą, że chodzą tajniacy i patrzą, jak się kto zachowuje, i to miało być później wykorzystane przy wystawianiu opinii.

Żołdu żadnego nie dostawaliśmy. Dostawaliśmy pensje ze stałej pracy. Papierosów przydziałowych też nie było. Palacze sami musieli się zaopatrywać. W sali sypialnej nie wolno było palić.

Dawaliśmy z siebie duży wysiłek fizyczny. Był duży wysiłek umysłowy. Wyżywienie w szkole nie było najwyższej jakości, ale przynajmniej regularne, czego wielu z nas wcześniej nie miało. Poza tym wielu, w tym ja, było przyzwyczajonych do głodu, do niedojadania. Śniadanie to herbata. Dostawałem ją do miski. Kromka chleba i kostka masła, czasem kostka marmolady stanowiły poranny posiłek. Obiad: miska zupy, po zjedzeniu do tej samej miski drugie danie, po zjedzeniu chochla herbaty lub kompot. Na drugie była jakaś kasza albo kartofle, jakieś buraczki, ryba

z puszki w formie mamałygi, czasem kawałek kielbasy, czasem mielony kotlet. Najczęściej to była ryba, taki szprot. Wrzucał kucharz łyżkę tego szprotu do miski. Posiłki przygotowywali zawodowi kucharze, do pomocy wyznaczano po kolei milicjantów z poszczególnych kompanii.

Z domu otrzymywałem kilka paczek żywnościowych. Czasem można było dostać repetę zupy.

W salach były piętrowe łóżka. Na większych pod dwiema ścianami, a pośrodku stół i krzeselka, na mniejszych łóżka ustawione były pod jedną ścianą, a pod drugą stół i krzesła. Przy łóżkach stały szafki na osobiste rzeczy, głównie do toalety codziennej. Cywilne rzeczy były w depozycie. Na łóżku leżał siennik wypchany słomą, prześcieradło, poduszka wypchana słomą i koc do przykrycia. Pościel wymieniana była raz na dwa tygodnie. W danym dniu każdy zdejmował swoją pościel, kładł na łóżku; przychodził ktoś i zabierał brudną pościel, zostawiając czystą. Każdy zakładał na swoje łóżko czystą pościel. Każdy miał mundur, drelich do ćwiczeń. O bieliznę osobistą każdy dbał sam. Już niewielu z nas zostało, którzy mogą opowiedzieć, jak to było. Ja przeżyłem, widziałem, opowiadam, może to kiedyś kogoś zainteresuje. Same budynki i pomieszczenia w tej szkole były dobrze utrzymane i w dobrym stanie.



Grupa kursantów przed budynkiem centrum szkolenia, 1946 r.
Wśród siedzących, drugi z lewej - Władysław Zawadzki.

Michalak, trzydziestokilkuletni oficer, dawał nam mocno w kość. Obiecywaliśmy sobie wielokrotnie, że jak dostaniemy swoją broń po kursie, to go zastrzelimy. Bardzo nam się naraził. Ja, jako jeden z nielicznych, już jako szeregowy posiadałem pistolet i pozwolenie na broń. Był to niemiecki walter P-38. W 1950 roku, jak odszedłem ze służby, to zdałem ten pistolet. Ale wielu też miało broń. Po skończeniu szkoły nasz dowódca okazał się człowiekiem, który walczył o każdego z nas. Walczył o lepszy stopień, pomagał jak mógł. Nasza kompania najlepiej zdała. On zdawał sobie sprawę z nastrojów, że mamy go dość. Zorganizował spotkanie i powiedział:

- Jestem niemal od dziecka w wojsku. Wiem, że może nie byliście przygotowani na to, co was spotkało. Może dla wielu było ciężko. Może wielu przeżyło traumę. Uważam, że to, co przeszliście pod moją komendą, zaprocentuje w przyszłości i przyda się w dalszej służbie. Powinniście być mi wdzięczni, powinniście się cieszyć, że mieliście możliwość dostania takiej lekcji. Prawdopodobnie teraz, na gorąco, nie doceniacie tego, ale w przyszłości zrozumiecie.

Patrzyliśmy na niego jak na kogoś innego. Na zakończenie podał każdemu rękę. Wyróżniających się zaprosił po egzaminach na obiad z wódeczką. Już nikt nie myślał o zabiciu go. Dał nam wiele z siebie i nauczył bardzo dużo. Miałem w swoim życiu szczęście do nauczycieli.

Imprez kulturalnych nie było. Żadnych występów artystycznych, żadnych potańcówek. Raz w tygodniu chodziliśmy do łaźni. Był w mieście wagon kolejowy z natryskami, z ciepłą wodą i tam chodziliśmy zażywać kąpieli.

Na koniec szkolenia egzamin. Na egzamin przyjechał jakiś generał. Pytano z wykształcenia ogólnego, z politycznych zagadnień. W komisji siedział zawsze dowódca kompanii, która właśnie zdawała. Wchodziło się pojedynczo. Pytania się losowało, krótki czas na przygotowanie odpowiedzi i sprzedawanie zdobytej wiedzy. W zależności od wyniku egzaminu dostawało się stopień wojskowy. Najwyższy to był stopień plutonowego. Mnie udało się zdać bardzo dobrze i dostałem stopień plutonowego

W komendzie wojewódzkiej MO dostałem przydział do Legnicy. Przyjechałem do Legnicy. A w tej Legnicy codziennie, zwłaszcza wieczorami i w nocy, słysząc pojedyncze strzały, serie z automatów, nie wiadomo kto do kogo strzela.

Przyjechałem wieczorem, melduję się w komendzie. Dyżurny mi-

MINISTERSTWO BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO
KOMENDA GŁÓWNA MILICJI OBYWATELSKIEJ
SZKOŁA SZEREGOWYCH

CENTRUM WYSZKOLENIA M. O.
W SŁUPSKU
Nr 76 / V.

ŚWIADECTWO

Ob. *Zawadzki Władysław* szereg. syn (córk.) *Mariana*
(imie, nazwisko i stop. służb.)
urodzony(a) dnia *19 grudnia* 19*34* r. w *Pienichowie*
pow. *Przemyski* wojew. *Tarnopolskie*
PRZESZEDŁ(A) WYSZKOLENIE ZAWODOWE W CZASIE od dnia *25*
kwietnia 19*46* r. do dnia *29 września* 19*46* r.
W SZKOLE SZEREGOWYCH M. O. W SEKCJI *ST. Zaw.* I UKOŃCZYŁ(A) JĄ
Z WYNIKAMI *bardzo dobrym*
NA PODSTAWIE KTÓREGO ROZKAZEM KOMENDANTA GŁÓWNEGO MILICJI
OBYWATELSKIEJ z dnia *17 września* 19*46* r. Nr *189*
mianowany został(a) *plutonowym M. O.*
Sobieski
Z-CIA KOMENDANTA C. W. M. O.

Słupsk, dnia *4 października* 19*46* r.
416-46 Druk. K. O. M. O.

Świadectwo
ukończenia
Centrum
Wyszkolenia
Milicji
Obywatelskiej
w Słupsku
z wynikiem
bardzo dobrym.
Otrzymał je
Władysław
Zawadzki
17.09.1946 r.
wraz
z mianowaniem
na stopień
plutonowego.

licjant, niejaki Nachajowski, siedzi za biurkiem, od czasu do czasu kogoś przyprowadzają, jak to na posterunku. Dyżurny mówi, że muszę do rana poczekać tutaj, bo on nie wie, gdzie mnie umieścić.

Przygotowałem się na noc na krześle. W tym czasie przychodzi jakaś pani, szefowa kuchni. Nachajowski mówi jej, że przyjechałem i może dałaby mi coś do zjedzenia. Przyniosła herbatę, jakąś kromkę ze smal-

cem. Pyta mnie:

- A gdzie będzie pan spał?
- Na posterunku, na krześle. Nie mam na razie kwatery.
- No to proszę do mnie! Mieszkam po drugiej stronie.
- A będę mógł się tam przespać?
- Pokój syna jest wolny. On gdzieś się włóczy, prześpisz się na jego łóżku.

Poszliśmy. Dała mi świeżą pościel. Śpię. W nocy przychodzi jej syn. Zaczyna się awantura:

- Jak to? W moim łóżku obcy facet?
- Łaziłeś do tej pory! To dalej łaż. On będzie tu spał.

Wyszedł, coś mrucząc pod nosem. Następnego dnia poszedłem do komendy. Dostałem pokój, łóżko, koce i przydział do pracy. Pracowałem mi się całkiem dobrze z wyjątkiem jednej rzeczy. Był w komendzie taki od spraw politycznych. Początkowo starszy sierżant, potem awansował na podporucznika. Facet niesamowicie mnie nie lubił. Ja go totalnie ignorowałem. I to doprowadzało go do pasji. Chodziło o to, że on prowadził zajęcia uświadamiające i gadał przy tym różne dyrdymały. Ja dużo czytałem, poza tym myślałem. To, co on plótł, do niczego nie pasowało i śmiałem się z tego pod nosem. Polityczny mnie nie znosił, a z kolei komendant był ze mnie bardzo zadowolony. Widział i cenił sposób, w jaki pracuję. Byłem dowódca plutonu, chłopaków szybko wyszkoliłem, wcześniej karabinu nie potrafili utrzymać, nie mówiąc o strzelaniu. Następnie szkoliłem młodych w szkółce, o czym już wspominałem. Surowy materiał wymagał obróbki. Szkoliłem, najlepiej jak potrafiłem, z dobrym skutkiem.

Będąc w Legnicy, szkoliłem tych, co wstąpili do milicji. Dostałem grupę kilkudziesięciu osób. Wyznaczono mnie na dowódcę i miałem ich przeszkolić. Miałem później kłopoty, bo skarżono się, że ich maltretuję. Kazałem im się czołgać, maszerować, biegać w śniegu i w deszczu. Uratowało mnie to, że ja nie tylko im kazałem to wszystko robić, ale robiłem to z nimi. Demonstrowałem, co trzeba robić.

W czasie służby od 1946 do roku 1950 byłem szefem służby zewnętrznej, miałem obowiązek przynajmniej raz w miesiącu skontrolować posterunki. Tych posterunków było pięć. Po takiej inspekcji musiałem sporządzić protokół kontrolny. Jedynie do Miłkowic było połączenie kolejowe. Do pozostałych posterunków szedłem przeważnie pieszo. Do Rui, do Prochowic, do Krotoszyc, do Legnickiego Pola chodziłem pieszo.

W Legnicy była komenda powiatowa i ja z ramienia tej komendy musiałem kontrolować posterunki.

* * *

Referendum w 1946 roku, 3 x tak. W tym czasie byłem w szkółce w Słupsku. Brałem w tym aktywny udział, jeździłem po terenie. Dostałem nawet do tego celu wierzchowca. Nie potrafię powiedzieć, na czym mogło polegać to fałszowanie. Ludzie przychodzili, dostawali karty wyborcze, szli za kotarę i wrzucali do urny. Co kto skreślał, co kto pisał, to ja nie wiem. Wiem, że nie było nacisków, jak trzeba głosować. Nikt nie zmuszał do głosowania. Ja traktowałem referendum jako swój obowiązek wobec Ojczyzny. Z kolegą jeździliśmy po wioskach, rozmawialiśmy z ludźmi. Postacią znaczącą w tym czasie był Mikołajczyk, to nazwisko często słyszałem w rozmowach. W referendum chodziło o opowiedzenie się, czy popierasz utrzymanie tych ziem odzyskanych, czy jesteś za sojuszem z ZSRR, czy jesteś za zniesieniem Senatu? Zachodziliśmy przeważnie do przedstawiciela lokalnej władzy, czyli do sołtysa. Pytaliśmy, jak ma to zorganizowane, czy ma jakieś kłopoty, czy lokale wyborcze są przygotowane. Nie ingerowaliśmy zbyt głęboko. Wydawało mi się, że ludzie są nastawieni pozytywnie, no bo kto by nie chciał, żeby ziemie te należały do Polski? Nie wiem, dlaczego teraz mówi się o sfalszowaniu tamtego referendum.

* * *

Życie rozrywkowe i kulturalne w Legnicy w tamtym czasie. Było bardzo dużo restauracji w Legnicy. Wszędzie królował alkohol. Rosjanie lubili wypić, Polacy też za kołnierz nie wylewali. Rosjanie, jak przychodzili wypić, to przynosili różne rzeczy na wymianę za alkohol. Właściciele korzystali na tym. To jakiś zegarek, to pistolet. Na niektórych ulicach było po kilka restauracji. Królował spirytus z sokiem. Taka mieszanka spirytusu z sokiem wiśniowym nazywała się tata z mamą. Prawdopodobnie podawano bimber. Na terenie Legnicy ani w okolicy nie było gorzelni. Podawano samogon. Ja stroniłem od alkoholu, dlatego nie wiem dokładnie, jak to było. Były kina, teatru nie było. Na Łąkowej było kino Kolejowe. Potężny gmach. W pewnym momencie prowadzono tam naukę tańca. Chodziłem przez jakiś czas. Było też kino na ulicy Wrocławskiej, na Parkowej też było kino, było kilka kin. Grano przeważnie filmy rosyjskie. Przez pewien okres miałem legitymację uprawniającą do wejścia do każdego kina w każdym momencie. Widziałem w związku z tym wszyst-

kie nowości. Byłem częstym bywalcem kin. Bardzo dużo ludzi chodziło do kina. Była to podstawowa rozrywka kulturalna. Jak zacząłem się uczyć, przestałem z tego korzystać. Można śmiało powiedzieć, że życie kulturalno-rozrywkowe miało się dobrze. Teatr powstał znacznie później. Filmy ludzie chętnie oglądali, bo to jest pewna magia i inny świat. Kina były przepełnione.

Cdn.

Jan Tarnawski

Samotna Chata

Wiosenna pogoda, deszcz cicho zacina,
Wiatr hula po świecie kozaka.
Na polu szarym stała chacina.
Uboga jak szata żebraka.

Zewsząd tę chatę góry otaczały,
Lecz ona w dolinie leżała.
Wiotkie brzeziny cień na nią rzucały.
Rzeka jej bajkę szeptała.

Gdy wiosna w słowikach rzewną pieśń nuciła,
Witając dziewczęta cudownymi kwiatami,
Wtedy góry zieleń zewsząd otuliła.
Chmury się wzruszyły, płakały deszczami.

Gdy słoneczne lato lipami pachniało,
Złote kłosa zboża otuliły wzgórze.
Dzwoniły skowronki, siano w kopkach stało,
Kwitły modre chabry i czerwone róże.

Gdy jesienne władze na świecie nastały -
Deszczem i wiatrem sądzone -
Wtedy piękne góry nagle poczerniały,
Nowymi prawami przyrody zgwałcone.

Gdy nad światem zima panowała -
Huraganem śnieg sypiąc po świecie -
Wtedy góra białą szatę przyodziła,
Błyszczącą srebrzyście jak kwiecie.

Cztery pory roku od wieków czuwały,
A samotna chata podróżnych witała,
Żeby stare jodły szczęście wyszumiały,
A rzeka miłosne wiersze nam szeptała.

Strofy pochodzą z tomiku pt. *Wiersze nadesłanego do redakcji przez brata autora*, p. Stanisława Tarnawskiego.

Na portalu www.onb.ac.at znajdują się skany „Kuryera Lwowskiego”. Z nich wypisałem wydarzenia związane z pow. Przemyślany, a także kilka ciekawostek. Zachowałem oryginalną pisownię.

Wydarzenia z powiatu Przemyślany podane w *Kurierze Lwowskim* (cz. II)

Delegacja galicyjskiego funduszu propinacyjnego, celem prowadzenia sprawy wydzierżawiania prawa propinacji, mianowała na powiat przemyślański Romana Wybranowskiego. (12.09.1889 r.)

Zasypani. W Korzelicach pow. przemysłańskiego glinisko podkopane usunęło się i przyduśliło żonę Michała Ulinika (najporządniejszego gospodarza we wsi) wraz ze służącą dziewczyną. Nieszczęśliwe ofiary wydobyto prawie zmiażdżone - bez życia. Winę ponosi niedbalstwo wójta miejscowego, Semka Oleniczyna, którego wzywano mnogie razy, aby z tą glinianką niebezpieczną zrobił porządek. (6.10.1889 r.)

Kancelarię adwokacką w Przemyslanach otworzył w dniu 6. bm. dr Izydor Kohl. (9.11.1889 r.)

Niebezpieczny zakład. We wsi Dusanów, w pow. przemysłańskim, założył się 26. bm. chłop Hryńko Kuchar, 25 lat liczący, z drugim chłopem Fedkiem Doroszem, że wypije pół litry wódki od razu. Zakład stanął. Kuchar istotnie wypił wódkę jednym haustem i zakąsił bułką. Po 14 godzinach jednak przepłacił Kuchar wygrany zakład śmiercią. (30.11.1889 r.)

Towarzystwo tkackie w Glinianach, którego piękne wyroby znane są naszej publiczności, otworzyło we Lwowie w handlu pani Wojczyńskiej przy placu Mariackim skład komisowy wyrobów. (15,12,1889 r.)

Z powodu nieurodzaju wyasygnowano tytułem bezzwrotnej pomocy dla pow. Przemysłańskiemu kwotę 3500 zł. Ma służyć na zakup paszy i zboża na zasiew. (5.01.1890 r.)

W Dunajowie powstało kółko rolnicze, a założył je Antoni Torski, dyrektor lasów arcybiskupich. (11.01.1890 r.)

Kawalerskiego Michała z Przemysłań schwymano na kradzieży płótnianki z wozu na ul. Zamarstynowskiej. (16.01.1890 r.)

Z powodu nieurodzaju członkowie Kółka rolniczego w Hanaczowie (48 członków) stracili 48 sztuk bydła i 60% zbiorów, a w Dunajowie (57 członków) 86 sztuk i 50% zbiorów. (...) Wydział krajowy przyznał pożyczkę dla pow. Przemysłańskiego w kwocie 7500 zł. (18.01.1890 r.)

Za podburzanie przeciw narodowości polskiej zasądził sąd przy-



Znajomi u Jadwigi Kołodziej w przemysłańskim mieszkaniu, 1938 r.
Nieznani z imion - Jankiewicz, Soroka i Kaleta.

sięgłych w Brzeżanach po dwudniowej rozprawie grekokatolickiego ks. Jana Stepanowa z Wiśniowczyka, w pow. przemysłańskim. Miał on w obecności włościan odgrażać się z zajadłą złością na „Lachów”, a nadto zarzucono mu, że popełnił oszczerstwo na osobie sędziego Siengalewicza, któremu zarzucał nadużycie władzy urzędowej. Sędziowie przysięgli uznali ks. Stepanowa winnym obu zarzuconych mu przestępstw, poczem trybunał zasądził go na miesiąc zwykłego areszta, zaostzonego postem co dwa tygodnie. Obrońca dr. Czajkowski zgłosił zażalenie nieważności. (12.03.1890 r.)

Wydział krajowy udzielił bezzwrotnej pożyczki Wydziałowi powiatowemu w Przemyslanach po 1500 zł rocznie (na 4 lata) na drogę Kurówce-Sołowa, począwszy od 1991 r. (19.02.1890 r.)

Rada szkolna [we Lwowie - J.W.] mianowała Karolinę Totowską jako nauczycielkę w Przemyslanach. (20.03.1890 r.)

Rewizje. D. 28. zm. odbyły się rewizje w Dunajowie u mieszczanina Niemirowskiego i djaka Felczyńskiego. Rewidowali żandarmi od

g. 7 rano do 3 popoł. i znaleźli podobno parę roczników „Nauki.”
(6.04.1890 r.)

Obłąkany. Wczoraj w południe ciekawe widowisko mieli przechadzający się po walach gubernatorskich. Oto niejaki Hryńko Wasylków z Dusanowa, gospodarz, począł w przystępie obłąkania zrzucać odzież ze siebie i wkrótce przedstawił się jak nasz pierwszy rodzic w raju. Nowego adamitę odprowadzono na policję i oddano następnie komisarjatowi do dalszego zarządzenia. (30.04.1890 r.)

Cmentarzysko starożytne prawdopodobnie z czasów wojen tureckich odkrył bm. we wsi Kosteniowie, położonej między Firlejowem a Przemyślanymi, nauczyciel miejscowy Edward Leeg. Niegłęboko pod powierzchnią ziemi znajduje się wiele kości ludzkich, a między nimi znaleziono wiele garnuszków z dwoma uszkami. Warto, aby który z archeologów zajął się bliższem zbadaniem tych pozostałości. (15.05.1890 r.)

Z powodu nieurodzaju z sumy 700000 zł przyznanych w Radzie państwa, na ręce starosty przemysłańskiego przekazano 15 758 zł.
(20.06.1890 r.)

W nocy z 10. bm. okradziono u rządcy dóbr hr. Romana Potockiego w Kurowicach kasę wertheimowską z kwotą 1610 zł. Następnego dnia znaleziono kasę rozbitą pod mogiłą peczeniewską. (21.06.1890 r.)

Delegatami Rady powiatowej w Przemyślanach na uroczystość sprowadzenia prochów Adama Mickiewicza na Wawel (4.07.1890 r.) byli Wybranowski i Kędziński [*współwłaściciel dóbr Meryszczowa - J. W.*] Liczba wieńców wszystkich delegacji w uroczystości wynosiła: pozłaczanych 3, srebrnych - 24, kwiatowych - 444, metalowych - 6, razem 477.
(6.07.1890 r.)

Z Przemyślan piszą: Dnia 29. zm. [*zeszłego miesiąca - J. W.*] około godz. 5 popoł. nadciągnęła ogromna chmura z szaloną burzą od południowego zachodu nad wsie Korelicze, Janczyn, Biłka, Wołków, Ładańce, Czemeryńce i wyrządziła ogromne szkody tak w polach jak i we wsiach samych. Burzy takiej nikt tu nie zapamiętał. Deszcz lał ze 3 godziny bez

przerwy, tak, iż świata nie było widać. Wiatr połamał zboże, przybił do ziemi i nie ma nadziei, by się już podniosło. Dużo drzew poprzewracał i połamał, a z budynków dachy pozrywał. (10.07.1890 r.)

* * * * *

Dunajów. Dzięki staraniom prezesa kółka rolniczego tutejszego, p. A. T. dyr. lasów arcybiskup. łac. odbyła się tu uroczystość 4 bm. D. 4. lipca o g. 10. rano odcelebrował kan. miejsc. ks. Turkuł solenne nabożeństwo żałobne, na którym zebrało się licznie obywatelstwo z okolicy obok miejscowych członków kółka rolniczego i włościan tutejszych. Katafalk rzeźbiście oświetlony, a dokoła w festony, kwiaty i wieńce ozdobiony. Na czele jego jaśniał okolony laurowym wieńcem portret wieszcz.

Po skończonych egzekwacjach udali się członkowie kółka roln. wraz z zaproszonymi gośćmi zamiejscowymi do sali szkolnej festonami przystrójonej, gdzie prezes Kółka, ogólnym zarysem zasług Mickiewicza okolo ludu zagaił uroczysty poranek. Miejscowy nauczyciel p. Watran odczytał biografię naszego wieszcz, obrobiona z należytem zrozumieniem rzeczy i stosownie do chwili poczem deklamował p. K. ze Lwowa zgromadzonym „śmierć Konrada Wallenroda”. Uroczystość tę zakończył p. Zamorski z Nowosiółki przepięknym a do duszy zebranych głęboko przemawiającem przemówieniem. Prostymi a serdecznymi słowy kładł nacisk mówca przede wszystkim na zasługi Mickiewicza okolo ludu wiejskiego, przedstawił go jako znakomitego znawcę roli i leśnika. Na tle Pana Tadeusza wypowiedział o wieszczu wszystko, co go w oczach ludu do zasłużonej wyżyny podnieść mogło. Tak na zebranych na uroczystości tej Polakach jako też licznych Rusinach mowa p. Zamorskiego prostotą a dosadnością swoją jak najgłębsze wywarła wrażenie. W tak uroczystym nastroju ducha będącym członkom Kółka rolniczego rozdano po skończonej uroczystości portrety Mickiewicza na wieczną tej uroczystości pamiątkę. (13.07.1890 r.)

* * * * *

Rada szkolna zamianowała Mikołaja Czemeryńskiego nauczycielem w Kurowicach. (26.07.1890 r.)

* * * * *

Obywatelstwo honorowe. Reprezentacja gminna królewskiego wolnego miasta Glinian w uznaniu zasług położonych dla dobra kościoła i dobra miasta nadała obywatelstwo honorowe księdzu kanonikowi. Wierzchowskiemu, jako dwudziestokilkuletniemu radnemu, w dniu 50-

letniej rocznicy jego kapłaństwa. (15.09.1890 r.)

Pożar. Dnia 10. bm. ciągnęło wojsko przez wieś Peczenię pow. przemysłańskiego, a pokwaterowani po stodołach żołnierze zostawili gdzieśniedzie naboje. Nazajutrz 7-letni chłopczyzna Mikołaj Kret bawiąc się nabojem, rozthukł go. Nabój zapalił słomę i w jednej chwili stanęła w ogniu cała stodoła, a od niej zajęło się 8 gospodarstw wraz z plebanją i zgorzała do szczytu. Staruszek ks. Czwartacki stracił przytem wszystkie zapasy zboża i narzędzi, tudzież 80 pni pasieki, suknie a nawet bieliznę. (16.09.1890 r.)

O pożarze w Peczeniji pow. Przemysłańskiego (11. bm.) otrzymaliśmy bliższe szczegóły, nieco odmienne od pierwszego doniesienia: Pożar wybuchł o 2. po południu. Spłonęło 9 zagród włościańskich, między któremi i budynki erekcyjne [będące własnością księdza grekokatolickiego - J. W.] wraz z tegorocznym zbiorem. Przy takiej spiekocie i gęstości budynków, to prawie cud był, że uratowano całą wieś, tembar-

dziej, że i wody u nas jest mało. Nie ma ani stawu ani rzeki, tylko ze studzien pompowano. A że wiatru prawie nie było a przytem i ludzie pracowali z sikawkami, których było 4 a mianowicie z folwarku Kurowic, Czerniowa, Żurawnik i gminy Mikołajowa, przeto niedopuszczono do



Dwaj żołnierze, może koledzy, armii austro-węgierskiej, lata 1914-1918. Pochodzili prawdopodobnie z Przemyślan. Zdjęcie nadesłała p. Lucyna Deskur.

dalszego szerzenia się pożaru. Że plebanię uratowano, która już w kilku miejscach gorzała, to należy zawdzięczyć energicznemu wystąpieniu p. Doczyja, komend. posterunku żand. w Kurowicach, jakoteż ludziom z Miłkołajowa, którzy wydostawszy się na strych, wycięli gorejący dach. Na uznanie zasługują także ck. żandarmi pp. Turek i Jarosz za ich taktowne a skuteczne postępowanie z ludźmi, przez co nie mało przyczynili się, że ogień zlokalizowano, pomimo, że sąsiednie budynki znajdowały się w pobliżu. Szkoda ogólna wynosi około 14 tysięcy. Z tego budynki ubezpieczone na 3000, a zboże jednego gospodarza na 700 zł. Przyczyną ognia byli dwaj 7-letni chłopcy, którzy w szopie palili cygaro. (17.09.1890 r.)

Aresztowania. Z Glinian donoszą nam 11. bm. Dzisiejszej nocy aresztowała żandarmerja i odstawiła do starostwa w Przemyślanach: Michała Gałana Jurkowego z Glinian, Jacka Żomnira, Jacka Sotnika, Kuźmę Syniutowicza i Iwana Farmigę, gospodarzy z Zamościa, wsi obok Glinian położonej. Zdaje się, że aresztowanie to stoi w związku z uwięzieniem Iwana Białoruskiego, które w przeszłym tygodniu nastąpiło w Brodach, z powodu tajnej agitacji moskalofilskiej. (13.10.1890 r.)

Uwolnieni. Z *Glinian* donoszą nam 15. bm: „Dziś wypuszczono z aresztów c.k. starostwa w Przemyślanach wszystkich uwięzionych w nocy 11. b. m. z polecenia starostwa przez żandarmerję wieśniaków z Glinian i Zamościa. Jak zwykle, tak i w tym wypadku, publiczność znająca tych ludzi, nie mogła sobie wytłumaczyć powodów nocnego aresztowania i eskortowania ich parę mil, by następnie w kilka dni już bez eskorty powracali. Każdy z ich otrzymawszy zawiadomienie urzędowe, byłby przyszedł sam. A tak przykro słuchać rozmaitych uwag. Pomiędzy włościanami również daje to powód do pogłosek i wieści, zdaniem mojem, bardzo szkodliwych. Powszechni, mówią sobie, że aresztowano ich za „ruską religię” i brednia taka niestety przyjmuje się zadziwiająco, a skutki niedobre. Wieśniak nasz wie już, że istnieje ustawa konstytucyjna o poszanowaniu wolności osobistej.” (18.10.1890 r.)

(Wybrał J.W.)

Cdn.

Na Ukrainie starły się wojska spod dwóch sztandarów z ćwiczeń duchowych Ignacego Loyoli: sztandaru Chrystusa na niwach Jerozolimy i sztandaru Lucyfera z babilońskiej pustyni.

Mirosław Kuleba

Armia Lucyfera (cz. I)

Przed sowieckim sądem wojennym w Moskwie postawiono w czerwcu 1945 roku szesnastu działaczy polskiego podziemia. Podczas procesu jeden z nich powołał się na nielegalność aresztowania przez NKWD. Oskarżonych zwabiono bowiem w pułapkę, a działający w imieniu generała Iwana Sierowa pułkownik Pimienow gwarantował polskiej delegacji pełne bezpieczeństwo. Kiedy na sali padły słowa, że rosyjski oficer zaręczył to słowem honoru - sędziowie, prokuratorzy i zgromadzona publiczność zgodnie wybuchnęli śmiechem.

Ten wybuch upiornego śmiechu wcale nie był spowodowany faktem, że Polacy zostali oszukani. Cóż zatem tak rozśmieszyło dobrane towarzystwo? Otóż argument, jakiego użył oskarżony, powołując się na owe „słowo honoru”.

Ta scena ze słynnego „procesu szesnastu” w Moskwie ilustruje dwie mentalności i przepaść, jaką między nimi wytworzyło wychowanie, system wartości, cała historia dwóch narodów. Z jednej strony poczucie godności i wierności danemu słowu, ujęte systemowo w kodeksie honorowym Bożewicza. Z drugiej - kłamstwo jako fundament wszelkiej ludzkiej aktywności. Zapytany o najkrótszą definicję procesu historycznego przebiegającego na Rusi, dworski, ultraszowinistyczny historyk Karamzin odparł bez namysłu: kradną! Równie dobrze i celnie mógłby odpowiedzieć: kłamią.

Armia jest taka, jak społeczeństwo, które ją wystawiło.

Wojsko w ryzach moralności

Zaraz po insurekcji kościuszkowskiej w Przykopi nad Donem ukazała się książeczka Józefa Pawlikowskiego, adiutanta Naczelnika, zatytułowana „Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość?” Autor po-

dał w niej własną receptę na zwycięstwo w wojnie z Rosją, które uważał za całkiem możliwe. Ponieważ jego zdaniem żołnierze zwyciężają nie swoją liczbą, lecz umiłowaniem wolności i prawości. Wskazywał też drogę do osiągnięcia cnót wojskowych, tak ważnych dla zwycięstwa: „Niechay Polaków każdy postępek złączony będzie z moralnością, nie tylko dalecy od rozwiązłości innych woysk, ale owszem niech się rządzą ludzkością, niech karność zagradsza drogę przestępstwu”.

Jaka armia stała wtedy po drugiej stronie szaniec? Były to wojska Aleksandra Suworowa, o których sami autorzy rosyjscy takie dali świadectwo: „Wdzierali się do domów, zabijali wszystkich jak popadło, uzbrojonych jak i bezbronych, broniących się i szukających schronienia; starcy, kobiety, dzieci - wszyscy, którzy się nawinęli pod rękę, ginęli od ciośw”. W pamiętnikach zdobywców Pragi znajdują się opisy szału, jaki wtedy ogarnął Rosjan. „Jeden z grenadierów z okrucieństwem dźgał bagnetem nieuzbrojonych Polaków, a nawet rannych; jakby dla urozmaicenia swoich czynów rozrąbywał głowy Polaków toporem, mówiąc: „to są wszystko psy”. Pewien kozak dla zabawy nadział na pikę niemowlę; drugi, wyrwawszy dziecko z objęć zadżganej matki, rozbił je o ścianę”. Szczególną nienawiść budziło katolickie duchowieństwo. Bernardyni i zakonnice „którzy nie zdążyli uciec z klasztorów, zostali zabici, a dziewczęta, które pobierały w klasztorze nauki, zgwałcono, a potem wymordowano”.

Słowa Pawlikowskiego brzmią na tle tej diaboliady jak posłanie z innej planety: „Między Polakami w woynach nawet domowych kończyły się niechęci na placu bitwy, nie prześladowano krewnych, nie szukano przeciwnika, nie męczono go na łonie żony i na trupach drobnych dzieci”. Zarazem nie zabrakło weteranowi insurekcji trzeźwej oceny wrogich poczynañ. Spośród trzech motywacji, jakimi zagrzewa się wojsko do boju: ideałów wolności, obrony religii bądź przyzwolenia na rabunek, tę trzecią uznał za bardzo szkodliwą. Ponieważ żołnierz, który wychodzi z karbów karności, przywyka do przestępstw. „Polacy i wojsko ich, powinno mieć zawsze cechę moralności”.

Pozłacana fasada rzeźni

Czy armia Suworowa, dokonująca dzikiej rzezi Pragi, postępowała według jakiegoś regulaminu, który nakazywał zbrodnie wobec bez-

bronnej ludności? Bynajmniej. Rosja zawsze dbała o fasadowość swoich instytucji.

Regulamin wojskowy dla generał-feldmarszałków (takim był tylko jeden Suworow) i całej generalicji z 1804 roku, głosił w artykule 167: „Jeśli kto zgwałci kobietę, starą lub młodą, zamężną bądź pannę, na ziemi nieprzyjacielskiej czy bratniej, temu odciąć głowę albo zesłać na wieczne galery, zależnie od wagi sprawy”.

Takie same wniosłe zasady znajdziemy w dzisiejszych regulaminach prowadzenia boju, obowiązujących w siłach zbrojnych Federacji Rosyjskiej. I to już na etapie tzw. przedpoborowych, czyli młodzieży w wieku do 17 lat. Zgodnie z regulaminem, każdy żołnierz musi znać i przestrzegać zasady Międzynarodowego Prawa Humanitarnego. W szczególności:

- * używać broni tylko przeciwko wrogowi i jego instalacjom wojskowym;
- * nie powodować większych szkód niż jest to konieczne;
- * zabrać rannych i chorych i udzielić im pomocy;
- * traktować ludność cywilną w sposób humanitarny, szanować jej własność.

I tak dalej, darujmy sobie dalszą wędrówkę w świecie regulaminowej fikcji. Jedno jest ważne: czarno na białym zapisano, że „naruszenie tych zasad nie tylko hańbi Ojczyznę, ale także, w przypadkach określonych prawem, pociąga za sobą odpowiedzialność karną”. Wszyscy tam dobrze wiedzą, jakie czyny hańbią ojczyznę i jej żołnierza.

Teraz zestawmy to z praktyką, znaną z ukraińskich miast i wiosek. Z tym, co widzieliśmy w Syrii, a wcześniej w Czeczenii.

Budanow gieroj

Lato 1996 roku spędziłem z czeczeńskimi bojownikami w górach Kaukazu, między wioskami Itum-kale i Szatoj. Były to pododdziały pułku specjalnego przeznaczenia „Wilk”, dowodzonego przez Chamzata Gełajewa. Strześliśmy ważnej drogi nad Argunem, prowadzącej w głąb gór, na pogranicze z Gruzją. Stamtąd, przełęczami Kaczu i Jukerigo, dostarczano zaopatrzenie dla czeczeńskich wojsk walczących z armią Rosji.

Na stokach gór rozrzucone były opustoszałe teraz wioski. Ich mieszkańcy uciekli przed wojną na równiny. Bojownicy żywili się tym, co wspierający armię rodacy dostarczali z dolin do oddziałów. Bywały dni,

kiedy jedliśmy tylko mąkę rozrobioną wodą. A jednak nikt nie wchodził do opuszczonych domostw, by szukać żywności. Godność rycerza, czeczeńskiego *quonacha*, nie pozwala narażać się na zarzut maruderstwa. Nie zrywaliśmy nawet jabłek z drzew w cudzych sadach.

Front Południowo-Zachodni, którego szefem sztabu był pułkownik Musa Bamatgirijew, dysponował grupą artyleryjską. Były to sowieckie moździerze kalibru 82 i 120 mm, przewożone ciężarówką GAZ-66 i obsługiwane przez Andrieja, byłego oficera z dywizji kantemirowskiej, Rosjanina który przystał do Czeczeńców. Świetnie wyszkolony artylerzysta, który drugim moździerzowym granatem trafiał we wrogi okop czy pojazd (pierwszy wystrzał służył do wyliczenia poprawki przez obserwatora), miał jedno wielkie zmartwienie. Rosjanie często kryli się wśród domostw. Andriej strzelał tylko wtedy, gdy był pewien, że nie zniszczy czyjegoś domu.

Symbolem rosyjskiej armii w Czeczenii został pułkownik Jurij Budanow, dowódca 160 Pułku Czołgów. W wiosce Tangi-czu porwał, a następnie skatował, zgwałcił i zamordował siedemnastoletnią Czeczenkę, Elzę Kungajewą. Został co prawda jako pierwszy rosyjski wojskowy skazany przez sąd za te zbrodnie, ale z więzienia zwolniono go przedterminowo. Kiedy na ulicy w Moskwie czeczeński mściciel zastrzelił Budanowa, zbrodniarz wojenny został pochowany z honorami wojskowymi, a pogrzeb zgromadził wielki tłum żałobników w mundurach.

Patrząc na dzisiejsze poczynania rosyjskiej armii na Ukrainie można pomyśleć, że rosyjscy generałowie zapamiętali ze „Sztuki wojny” Sun Tzu tylko jedno: „Kiedy grabisz jakiś obszar, dziel bogactwo między żołnierzy”. Na pewno nie zakarbowali sobie innej reguły: „Armia bez ciężkiego sprzętu i wyposażenia zostanie pokonana. Jeśli nie ma dostaw – zostanie pokonana. Jeśli nie ma zapasów – zostanie pokonana”.

Niedawno pojawiła się opinia, że zachowanie rosyjskich żołnierzy na polu boju warunkują trzy główne czynniki: szalony, militarystyczny nacjonalizm, głębokie zakorzenienie więziennej kultury i bieda. Ludzie, którzy są twarzą armii, mają pochodzić z ubogich regionów Rosji. Poddani praniu mózgów w koszarach trafiają na Ukrainę i widzą, że ludzie żyją tam tak, jak oni sami nigdy żyć nie będą. „To doprowadza ich do szaleństwa i zaczynają robić to, czym można się zajmować w warunkach bezkarności”. Otóż jest to diagnoza dość wątpliwa. Opublikowano ostatnio dane kilkudziesięciu żołnierzy, odpowiedzialnych za zbrodnie wojenne



Rzeź Pagi 4.11.1794 r. Rosyjski Kościół Prawosławny rozpoczął kanonizację Aleksandra W. Suworowa, który uczestniczył w tłumieniu konfederacji barskiej i dowodził wojną przeciw insurekcji kościuszkowskiej. Dowódca wojsk okupujących Polskę przed III rozbiorem. Odpowiedzialny za rzeź ludności cywilnej przy zdobywaniu warszawskiej Pragi.

w Buczy. W większości pochodzą z Kraju Chabarowskiego na dalekim wschodzie, gdzie poziom życia wcale nie odbiega od warunków w części europejskiej Rosji. Są wśród nich przedstawiciele autochtonicznych mniejszości etnicznych, są Jakuci, ale są też rdzenni Rosjanie. To, że z żołnierzy stali się mordercami, nie zależy więc od narodowości i statusu społecznego, lecz ma przyczynę systemową.

„Wojsko moskiewskie zbierane z różnych narodów, Baszkierów, Kałmuków etc., których znamy słabość” – pisał u progu XIX wieku Pawlikowski. Ani ich zbrodnie, ani los, nie obchodzą nikogo, a najmniej Pu-

tina. Władca na Kremlu czuje się zapewne właścicielem swojego armatniego mięsa. Jak niegdyś Mikołaj II, który na krytykę prasową po utracie floty pod Cuszimą odparł: „Czego chce ta hołota i czego się wtrąca? To moja flota!”.

Bardzo znamienne zjawisko można zaobserwować na przykładzie czeczeńskich oddziałów „kadyrowców”, uczestniczących w inwazji na Ukrainę. Zasłynęły ze zbrodni wojennych i bezwzględności. Gdzież podział się mit kaukaskiego rycerza, broniącego ojczystej ziemi? Otóż Czeczeni utracili go w ukraińskim błocie z jednego powodu: wzięli udział w niegodziwej napaści, w niesprawiedliwej wojnie. W szajce bandytów nie ma miejsca dla rycerzy.

Cdn.

Józef Wyspiański

Wykaz ofiar zbrodni popełnionych przez nacjonalistów ukraińskich na osobach narodowości polskiej w pow. Przemyślany (XXXIX)

W odnalezionym liście Nadiny Pietruskiej z 23.06.1996 r. jest informacja o śmierci siostry ks. Jana Szula - Marii, dotychczas znanej tylko z imienia. „Panią Marię Szul znałam z RGO (Rada Główna Opiekuńcza) w Przemyślanach, byłam tam na etacie podkuchennej. Mama z p. Zosią Procajłowicz odradzały jej pójście do Majdanu Lipowieckiego. Podobno miała komuś coś zanieść, czy uratować - już nie pamiętam. Po paru dniach okazało się że Maria leżała na polu zamordowana.”

W bazie danych IPN znajdują się nazwiska osób zamordowanych w powiecie, których nie ma w redakcyjnym rejestrze ofiar.

1. **Kislin Tadeusz**, lat 17, zamordowany w Majdanie Lipowieckim w marcu 1944 r. Zapewne podczas napadu nacjonalistów ukraińskich na wieś 28.03.1944 r. Ciała nie znaleziono. (Akta Sądu Grodzkiego w Grodowie).

2. **Prus Antoni**, lat 35, z Ciemierzyniec. Uprowadzony przez banderowców w kwietniu 1944 r. i zamordowany. (Akta Sądu Powiatowego

w Świebodzinie).

3. **Podgórski Jan**, lat 57, z Wołkowa. Zamordowany przez banderowców w pociągu na trasie Pletenice-Wołów 5.04.1944 r. (Akta Sądu Grodzkiego w Głubczycach).

4. **Mazur Katarzyna**, lat 23, z Tucznego. Spalona żywcem we własnym domu w kwietniu 1944 r. Nazwisko ofiary wpisano do rejestru redakcyjnego w miejsce NN.

5. **Jasiński Emil**, lat 21, z Poluchowa Małego. Zamordowany przez upowców 1.04.1944 r. (Akta Sądu Grodzkiego w Wagrowcu).

Uwzględniając nowe dane o skutkach napadów ukraińskich nacjonalistów, liczba ofiar w byłym powiecie przemysłańskim wynosi łącznie 1792. W tym jest 1603 Polaków, 133 Ukraińców, 52 Żydów i czterech Rosjan. Zaledwie kilka osób z wykazu ofiar wyzdrowiało po zadanych ranach. Ponad 300 osób nie jest znanych z nazwiska (Polacy, Ukraińcy i Żydzi).

Ponadto Niemcy, niekiedy pod wpływem ukraińskich donosów, zastrzelili przynajmniej 30 Polaków i sześcioro Żydów. Większość jest znana z nazwiska. Lista ofiar napadów nie jest pełna i będzie uzupełniana w miarę napływu kolejnych danych.

Redakcja „Spotkań Świrzan” nadal zbiera informacje o nowych, nieznanych dotychczas ofiarach napadów ukraińskich nacjonalistów, fotografiach zabitych Polaków jak również dane uzupełniające (okoliczności morderstwa) do znanych już nazwisk. Nowe dane będą publikowane w naszej gazetce.

Szczególnie brakuje informacji o ofiarach z miejscowości leżących na południu powiatu, z takich wiosek jak: Korzelice, Wojciechowice, Młynowce, Baczów, Meryszczów, Podusów, Nowosiółka i Dusanów.

Zdzisław Abramowicz

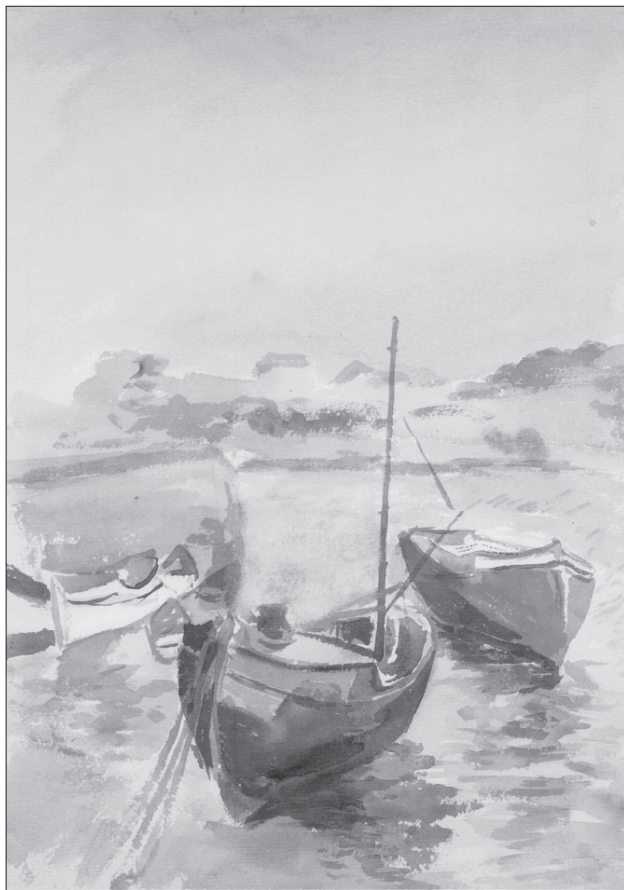
Pytania bez odpowiedzi

„Jesienna” zima przełomu lat 2022 - 2023 zapewne nie przypomina ostatnich miesięcy kończącej się drugiej wojny światowej - zwłaszcza ówczesnej atmosfery panicznego lęku obywateli „herrenvolku”, naras-

tającego do granic paniki pod wpływem przemycanych pantoflową pocztą, coraz dramatyczniejszych wiadomości z toczącego się ku Bolesławcowi - wtedy niemieckiemu Bunzlau - walca frontu. Już nie mogły go zagłuszyć urzędowe komunikaty kulawego nazistowskiego zbrodniarza, mistrza kłamstwa, doktora Goebbelsa. Od dawna jednak nikt nie odważył się w III Rzeszy na publiczne podważanie oficjalnej propagandy, by tym samym nie ściągnąć na siebie oskarżenia o sianie defetyzmu.

Taki zarzut nieuchronnie sprowadzał bowiem nieszczęście nie tylko na samego posądnego o „rozkładanie zwartości obronnej Niemców” - ale najczęściej oznaczał tragedię i dla jego bliskich.

W sąsiadującej z Gromadką niewielkiej wsi Modła robotnicy przymusowi, ściągnięci z wielu zakątków Polski i innych państw podbitej Europy, jeszcze w pierwszych dniach lutego 1945 roku od najwcześniejszych godzin rannych po głęboki zmierzch wykonywali swoje obowiązki - karmili zwierzęta w oborach, czyścili stajnie i chlewy, pracowali w miejscowej odlewni. Zbliżający się wraz z odgłosami nadciągającego frontu uprag-



Irena Komorowska. Kornwalia 1950-1963. Papier, akwarela. Zdjęcie pobrano z katalogu wystawy pt. *Zamek w Świrzu*, nadesłanego przez p. Piotra Pinińskiego.

niony kres udręki zdawał się pozostawać poza ich zainteresowaniem. Ale choć prawda była zgoła inna, to rozsądek nakazywał bez-względnie unikać wszelkich wypowiedzi - a zwłaszcza zachowań, mogących stanowić pretekst do niemieckiego odwetu na bezbronnych ludziach.

A za taki uchodziły choćby nieopatrzne komentarze na temat beznadziejnej sytuacji militarnej Niemiec. Gdy do wsi zaczął dobiegać narastający, głuchy pomruk rosyjskich dział, wśród „aryjskich” mieszkańców Modły zapanował dziki popłoch. Teraz wszyscy oni starali się okazywać jak najwięcej życzliwości swoim dotychczasowym niewolnikom, chociaż - tak przynajmniej twierdził jeden z byłych robotników - i wcześniej część niemieckich gospodarzy traktowała zniewolonych „parobków” bardzo przyzwoicie.

W pierwszych dniach lutego 1945 roku obok zagrody Paula Vatera, w której właśnie szykował do drogi duży konny wóz, mający niemal w ostatniej chwili wywieźć na zachód rodzinę owego bauera jego młodziutki niewolnik, Polak Stanisław Olejniczak, pojawiła się też prowadzona przez uzbrojoną eskortę grupa polskich kobiet i dziewcząt, licząca około sześćdziesięciu osób. Chłopak nie bacząc na niebezpieczeństwo spróbował nawiązać z pędzonymi rozmowę. Udało się to zapewne dzięki temu, że konwój właśnie zatrzymano na krótki odpoczynek.

Mimo dotkliwego chłodu część Polek miała na sobie tylko sukienki i okrycia z koca, natomiast niektóre posiadały płaszcze. Zdążyły powiedzieć, że wśród nich są między innymi mieszkanki Łodzi i że przed ewakuacją pracowały w fabryce amunicji - jak ustalił później Stanisław - zlokalizowanej w okolicach dzisiejszych Rokitek.

Grupa, otoczona przez uzbrojonych wachmanów, po krótkim postoju pośpiesznym marszem skierowała się najprawdopodobniej ku Bolesławcowi. I tu zaczyna się nieznana, a - być może - najtragiczniejsza część dalszych, wojennych losów naszych Rodaczek.

Gdy Armia Czerwona wkroczyła do wsi, kolumna nie mogła do tego czasu odejść zbyt daleko. Jak jednak zorientował się kilka dni później opowiadający o całej sprawie pan Stanisław - eskortowana grupa nie dotarła do Bolesławca, nie widzieli jej też pytani o to Polacy, pracujący w pobliskich miejscowościach.

Co więc stało się z kobietami? Bezpośredni świadek i uczestnik tej historii jest przekonany, że gdyby konwój dotarł do jakiejś pobliskiej wioski - zapewne nie uszłoby to uwagi tamtejszych ludzi, z którymi po

kilku dniach się spotkał, poszukując informacji o kolumnie. Nikt też nie widział eskortowanych Polek w Bolesławcu. Sprawa ta od tamtych lat nie dawała mu spokoju, niestety, szczupłość posiadanych informacji stanowiła zawsze najistotniejszą przeszkodę przy próbach jej wyjaśnienia.

Wszak wojna dobiegała końca, dla wszystkich było oczywiste, że wkrótce zbrodniarze zaczną zdawać rachunek ze swojego postępowania. W głąb Niemiec niemal do ostatnich dni pędzono „marsze śmierci”, mordując po drodze setki więźniów ewakuowanych obozów koncentracyjnych. Czy oprawcy zdecydowali się pozbawić życia również były robotnice tuż przed nadejściem wolności, by nie dopuścić do ujawnienia przez nie jakichś tajemnic, związanych z fabryką amunicji?

Ludzi posiadających wiedzę niebezpieczną dla konającego nazizmu likwidowano bez zahamowań, metodycznie i z zimną krwią. Czy może to oznaczać, że nieszczęsne kobiety też zostały wymordowane i pochowane gdzieś w głębi okolicznych lasów? Czy taki przerażający, potworny los spotkał na ziemi bolesławieckiej nasze rodaczki w lutym 1945 roku?

Na to pytanie najprawdopodobniej nigdy nie uzyskamy odpowiedzi ...

Pokłosie naszych publikacji

Poszperałem w swoich materiałach i znalazłem informacje o zdjęciu. Biskup odwiedził parafię przemysłańską w dniach 19-21.10.1931 r. Była to Wizyta Kanoniczna. Przyjechał ze Świrza wraz z ks. Dziekanem Włodzimierzem Klecanem i sekretarzem ks. Andrzejem Gromadzkim. Parafianie na powitanie ustawili pomiędzy szkołami, żeńską i męską, bramę triumfalną (między szkołami wiedzie krótki trakt prowadzący do głównego wejścia do kościoła). Przez 3 dni cała parafia brała udział w nabożeństwach z ks. biskupem. Do bierzmowania przystąpiło wtedy 677 osób z całej parafii i przysiółków. Biskup wizytował młodzież obu szkół, przykościelne towarzystwa, Ochronkę, bursę, gimnazjum i szpital, kaplicę w Wołkowie i Pniatynie. W dniu 21 września, autem odjechał do Lwowa.

W księdze parafialnej znajduje się stosowna adnotacja na temat tego zdarzenia.

Tomasz Fojgt

Od lewej: 1 - ks. Dziekan
Władysław Klecan (proboszcz
z Chodorowa), 2 - biskup
Franciszek Lisowski,
3 - ks. Andrzej Gromadzki -
kapelan (z kwiatami)
i 4 - ks. Piotr Stanoszek - wikary
miejscowej parafii. Fotografie
przekazała p. Lucyna Deskur,
a zdjęcie oczyścił
p. Tomasz Fojgt.

Mateusz S.

Informacje

Akuszerki w powiecie (1904 r.):
Dunajów - Łobocka Helena, Gliniany - Greiner Maria Michalina, Kurowice - Kirschner Karolina, Przemyślany - Knopp Otylia, Świrz - Jung Szitra, Zadwórze - Pełech Maria, Zamoście - Czarkowska Anna.

+ + + + + + +

Icko Szmujłowicz starszy gminy w Glinianach protestuje (5.08.1750 roku) przeciw marszałkowi i starszym ziemskim zgromadzonym na sejmiku w Olesku, którzy wbrew deklaracjom wcześniejszych sejmików obciążyli podatkiem gminę w Glinianach, zrujnowaną w pożarze. (Archiwum we Lwowie)

+ + + + + + +

Apteki w pow. przemysłańskim: Przemyślany - Engländer Herman, Gliniany - Hełm Anna.

+ + + + + + +

Gliniany w Encyklopedii Gutenberga (okres międzywojenny): miasto w pow. Przemyślany (woj. tarnopolskie), 10 km. od linii kolejowej Lwów-Krasne z 4.355 mieszkańcami. Fabryka spirytusu i kilimów. Tu miała w 1537 r. miejsce słynna „wojna kokosza”. Zwołana na pospolite ruszenie szlachta wystąpiła przeciw królowi, a głównie królowej Bonie i po rozbiciu się rokowań między Zygmuntem Starym, a szlachtą, zjazd wśród ogólnego przygnębienia rozszedł się na niczem.

+ + + + + + +

C.k. Starostwo w Przemyślanach (1904 r.). Przestrzeni 9 327 mirjam, mieszkańców 70 393 w 69 gminach politycznych i 68 gminach katastralnych. 2 sądy powiatowe: w Przemyślanach i Glinianach.

Star. Winiarski Jan, hon. ob. m. Trembowli, Strzyżowa i Przemyślan. Kom. - Gawroński Wilhelm. Koncep. Nam. - Gaweł Stanisław. Prakt. konc. - Biłski Mieczysław. Lek. - Hyżycki Cyryl, dr. med. Weter. - Proskuralski Anatol. Sekr. - Solarik Karol.

Oddział budowniczy. Oddośne sprawy załatwia oddział budowniczy c.k. Starostwa brzeżańskiego.

Oddział podatkowy. Insp. podat. - Manaczyński Józef. Koncep. skarb. - Kaliszczak Antoni. Adj. pod. - Dancewicz Wawrzyniec.

Urząd podatkowy. Pobor. - Kutrzeba Stanisław. Kontr. Zajączkowski Marian. Adj. - Kokociński Kornel, Pueller Władysław i Rolnicki Roman. Prakt. Madeyski Jan i Nowosielski Aleksander. 1 woźny.

Urząd podatkowy w Glinianach. Pobor. Rzychowski Jan. Kontr. - Horniak Stanisław. Adj. - Kamiński Eugeniusz i Szewczykowski Jakub. Prakt. - Ostrowicz Jan. 1 woźny.

+ + + + + + +

Dunajów - miasteczko, dominium Dunajów. Właściciel: 1777 - 1809 r.

- arcybiskupstwo lwowskie o-
brządku łacińskiego. Kategoria
szlachty: szlachta rustykalna
(czynszowa). Liczba szlachty,
mężczyzn: 1799 r. - 19 osób, 1816
r. - 20, 1824 r. - 19. Liczba ludności:
1799 r. - 1018 osób, 1816 r. - 1100,
1824 r. - 1227. (K. Ślusarek, *Drob-
na szlachta w Galicji 1772 - 1848*,
Kraków 1994)

+ + + + + + +

Szpital powszechny w Prze-
myślanach (1904 r.). Założony w
roku 1897 przez Wydział Rady po-
wiatowej w Przemyślanach z
funduszków powiatowych, grzy-
wien, datków dobrowolnych i z za-
pisu Waleriana Czajkowskiego,
właściciela Świrza, w kwocie 20
tys. K. Majątek szpitala stanowią
dwa budynki piętrowe i dwa morgi
gruntu darowanego przez hr. Al-
freda i Romana Potockich, w łącz-
nej wartości 115 000 K., urządzony
na 42 łóżka, otwarty w dniu 1 lis-
topada 1897 r. Na utrzymanie
szpitala służą taksy za leczenie,
a resztę dopłaca Wydział krajowy.
Zarząd. Siostry Serafitki. Lek.
prym. Markiewicz Dionizy - dr. w. n.
lek i dyr. szpitala. Sekund. - Barbag
Herman, dr.

+ + + + + + +

Józef Karol Maria Battaglia de
Sopramonte e Pontalto, a w skró-
cie Karol Battaglia (1814-1875),
pochodził z południowego Tyrolu.
Do służby urzędniczej wstąpił
w Galicji. W latach 1861-1867 był
w c. k. Urzędzie Powiatowym
w Glinianach, a następnie (1868-
1875) naczelnikiem sądu powia-
towego w tym mieście. Był również
posłem do sejmu krajowego. O-
trzymał tytuł honorowego obywa-
telstwa Glinian. Był żonaty z Polką
i miał troje dzieci. Pochowany
w Glinianach. Syn walczył w po-
wstaniu styczniowym.

+ + + + + + +

Członkami Towarzystwa Gos-
podarczego Galicyjskiego, wybra-
nymi w 1861 r., byli: Aczkiewicz
Dominik z Lipowiec, Brzeziński
Ignacy z Połtwi, Gorzycki Win-
centy z Pohorylec, Wierzchlejski
Napoleon z Dunajowa, Wiśniewski
Jan z Ciemierzyniec, Witosławski
Bronisław z Wojciechowiec, Wito-
sławski Józef z Żędowic i Zarzycki
X. Modest z Uszkowic. (*Rozprawy
C. K. Galicyjskiego Towarzystwa
Gospodarskiego*. Lwów 1861, str.
195 i 202)

+ + + + + + +

+ + + + + + +

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 164.
Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6,
tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, VIII 2023 r. Druk
MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez
ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja
nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.

ISSN 2544-0012